

## **Bartłomiej Kozłowski**

### **„Doda” i „pośrednie podżeganie”**

Krytyka zdania odrębnego sędziego ETPC Krzysztofa Wojtyszka w sprawie Rabczewska v. Poland

*„Ciężko wierzyć w coś, co spisał po prostu jakiś tam, wiesz... napruty winem i palący jakieś... nie wiadomo jakie ziola” - „A przepraszam, o kim mówisz?” (pytanie dziennikarki) - „No o tych wszystkich gościach, co spisali wszystkie te, wiesz... niesamowite historie” - „Biblijne?” - „No, a co?”.*

Gdyby autorka przytoczonych powyżej słów na temat Biblii, tj. piosenkarka Dorota Rabczewska, występująca pod pseudonimem „Doda”, wypowiedziała je kilkaset lat temu, zapewne spłonęłaby na stosie. Na szczęście mamy wiek dwudziesty pierwszy i stos za powiedzenie czegoś takiego od bardzo dawna nie grozi. Ale to nie znaczy, że za takie słowa nie grozi po prostu nic. Przeciwnie, grożą za nie – przynajmniej w Polsce - całkiem poważne konsekwencje, z trafieniem do więzienia włącznie.

Doda miała się o tym okazję przekonać, gdy z powodu wspomnianych na wstępie słów – będących częścią jej wywiadu dla portalu internetowego gazety „Dziennik” - została ona oskarżona, a następnie skazana na 5000 zł grzywny za popełnienie przestępstwa z art. 196 kodeksu karnego, zgodnie z którym ten, kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego sprawowania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do lat 2. Orzekające w jej sprawie sądy, tj. Sąd Rejonowy dla Warszawy – Mokotowa, a następnie Sąd Okręgowy w Warszawie uznały, że jej słowa na temat Biblii były "obiektywnie obraźliwe", a ich autorka działała z zamiarem "wyśmiania i obrażenia".

Przegrawszy w zwykłych sądach Doda – czy może raczej *de facto* jej adwokat, mec. Łukasz Chojniak – zaskarżyła art. 196 k.k. do Trybunału Konstytucyjnego zarzucając mu, że w sposób niedopuszczalny narusza on gwarantowane przez art. 54 polskiej konstytucji prawo do swobody wypowiedzi. Trybunał Konstytucyjny w wyroku, który swego czasu delikatnie mówiąc zmieszał z błotem jako wyjątkowo nieprzekonujący i niebezpieczny dla wolności słowa (1) uznał jednak, że art. 196 k.k. jest zgodny z konstytucją. Ostatecznie Doda zaskarżyła polskie państwo przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. Ten zaś w czwartek 15 września 2022 r. uznał, że Polska, skazując Dodę za jej wypowiedzi naruszyła art. 10 ust. 1 europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, gwarantujący mieszkańcom państw należących do Rady Europy prawo do swobodnego wyrażania się i zasądził na jej rzecz 10 000 euro odszkodowania, płatnego z polskiego skarbu państwa.

Dlaczego Doda wygrała sprawę przed Trybunałem w Strasburgu, który – to niestety trzeba przypomnieć – w przeszłości wydawał wyroki uznające zakazywanie wypowiedzi obrażających religię lub karanie za takie wypowiedzi za zgodne z Europejską Konwencją Praw Człowieka? Otóż, ogólnie rzecz biorąc ETPC stwierdził, że w sprawie, z którą miał do czynienia „sądy krajowe nie dokonały kompleksowej oceny szerszego kontekstu wypowiedzi

*skarżącej i starannego zrównoważenia jej prawa do wolności wypowiedzi z prawami innych osób do ochrony ich uczuć religijnych i pokoju religijnego zachowanego w społeczeństwie. Nie wykazano, że ingerencja w przedmiotowej sprawie była wymagana, zgodnie z pozytywnymi zobowiązaniami państwa wynikającymi z art. 9 Konwencji (gwarantującego prawo do wolności religijnej), w celu zapewnienia pokojowego współistnienia grup i osób religijnych i niereligijnych podlegających ich jurysdykcji poprzez zapewnienie atmosfery wzajemnej tolerancji". Trybunał uznał też, że „badane wyrażenia nie stanowiły niewłaściwego lub obraźliwego ataku na obiekt kultu religijnego, mogącego podlegać do nietolerancji religijnej lub naruszać ducha tolerancji, który jest jedną z podstaw społeczeństwa demokratycznego". W praktyce dużą, jak się zdaje, rolę w dojściu do wniosku, że stwierdzenia Dody zostały uznane za chronione przez Europejską Konwencję Praw Człowieka odegrało to, że wypowiedzi te nie były zbyt poważne. Jak zauważył strasburski Trybunał „sądy krajowe uznały, że wypowiedzi skarżącej nie były częścią debaty na temat interesu publicznego i skarżąca nie twierdziła inaczej, ani przed sądami krajowymi, ani przed Trybunałem. Rzeczywiście, skarżąca utrzymywała przed władzami krajowymi, że kierowała ona swoje wypowiedzi do młodej publiczności fanów swojej muzyki i były one „szczerze, subiektywne i niepoważne". Nic nie wskazuje na to, że zamierzała uczestniczyć w jakiegokolwiek poważnej debacie na tematy religijne; raczej była zainteresowana pielęgnowaniem zainteresowania swoich odbiorców. Pytania zadane jej przez dziennikarza przeprowadzającego wywiad dotyczące religii były spowodowane otwarciem antyreligijnym publicznym stanowiskiem jej chłopaka (Adama Darskiego „Nergala") w tamtym czasie. Sama skarżąca nie angażowała się w żadną publiczną dyskusję na temat religii przed tym wywiadem i nie robiła tego od tamtej pory". Istotne w sprawie Dody było też stwierdzenie, że jej słowa nie stanowiły „mowy nienawiści" – w wyroku Trybunału przytoczony został fakt, że wobec Dody nie został zastosowany (szereg razy poniekąd krytykowany przeze mnie) (2) art. 256 §1 kodeksu karnego, który przewiduje karę grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2 dla kogoś, kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość.*

Wyrok strasburskiego Trybunału w sprawie Dody nie zapadł jednak jednomyślnie. Swoje zdanie odrębne złożył w tej sprawie polski sędzia Krzysztof Wojtyczek, który stwierdził, że Polska, skazując Dodę na 5000 zł grzywny za jej słowa nie naruszyła art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Jak sędzia Wojtyczek uzasadnił swoje stanowisko, zgodnie z którym skazanie Dody było z punktu widzenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka ok.? Otóż przede wszystkim stwierdził on, że sprawa Dody była podobna do takich spraw, jak *Otto Preminger* *Institut* przeciwko Austrii z 1994 r. oraz *Wingrov* przeciwko Zjednoczonemu Królestwu z 1996 r., w których to sprawach Trybunał w Strasburgu orzekł, że państwowe zakazy bluźnierczych wypowiedzi nie są sprzeczne z art. 10 EKPC. Jak dalej pisał sędzia Wojtyczek „*Podobnie jak w ww. sprawach, sprawa przed Trybunałem polega na rozważeniu sprzecznych interesów związanych z korzystaniem z dwóch podstawowych wolności gwarantowanych Konwencją, a mianowicie z jednej strony wolności przekazywania opinii publicznej własnych poglądów, z drugiej strony prawo innych osób do poszanowania ich wolności myśli, sumienia i wyznania,*

*a także ich tożsamości”. Stwierdził on też, że „Należy w tym miejscu zauważyć, że wolność od zniewag wpływających na uczucia religijne wierzących jest ważnym elementem wolności sumienia i wyznania”.*

*I dalej „Niniejsza sprawa musi być umieszczona w szerszym kontekście społecznym, charakteryzującym się szybko rosnącą liczbą aktów religijno-fobicznych pod różnymi postaciami w Europie. Dotyczą one głównie judaizmu i chrześcijaństwa. Do aktów religijno-fobicznych zalicza się w szczególności akty agresji fizycznej wobec księży, które doprowadziły do śmierci niektórych zaatakowanych osób, częstą agresję słowną (w miejscach publicznych i mediach) wobec wiernych, złośliwe zakłócanie kultu religijnego, a także jako niezliczone akty wandalizmu wymierzone w miejsca kultu religijnego, symbole religijne i cmentarze wyznaniowe w całej Europie. Szczególnie szybko wzrasta w Polsce liczba aktów chrystianofobii, w tym fizycznych napaści na księży” (...) „Na tym tle mowa religio-fobiczna stanowi pośrednie podżeganie do poważniejszych przestępstw przeciwko grupom wyznaniowym lub ich członkom, podczas gdy brak odpowiedniej reakcji władz na motywowane nienawiścią lub uprzedzenia działania wobec grup wyznaniowych i ich członków może tworzyć atmosferę oficjalnego przyzwolenia i rozwinięcia ogólnego poczucia bezkarności. W każdym razie problem rosnącej liczby aktów motywowanych nienawiścią lub uprzedzeniami wobec grup religijnych wymaga podjęcia skutecznych kroków, zarówno na poziomie międzynarodowym, jak i krajowym, w celu ochrony dotkniętych osób”.*

*„Kwestionowane komentarze odnoszą się do Biblii, którą Żydzi, Karaimi i chrześcijanie uważają za natchnione przez Boga. Biblia hebrajska (Tanach) leży u podstaw wiary żydowskiej i jest uznawana za definiującą tożsamość żydowską. Biblia chrześcijańska odgrywa kluczową rolę w protestantyzmie i określa tożsamość różnych wyznań protestanckich. Ma też szczególne znaczenie dla wszystkich innych grup chrześcijańskich, w tym prawosławnych i katolików, którzy widzą w nim przedmiot szczególnej czci jako Pismo Święte. Zwracam uwagę, że kwestionowane sformułowania dotyczyły bezpośrednio przekonań religijnych. Nie polegają one na zaprzeczeniu wierze religijnej, ale są obraźliwe i stanowią nieuzasadnione ataki na obiekt czci wielu wyznań religijnych. Jak w Ī.A. przeciwko Turcji, cytowanym powyżej, „obecna sprawa dotyczy nie tylko komentarzy, które obraźliwe lub szokujące, lub „prowokacyjnej” opinii, ale także obraźliwego ataku” oraz „wierzący mogą słusznie czuć się obiektem nieuzasadnionych i obraźliwych ataków”. Jak w E.S. przeciwko Austrii uwagi skarżącego mogły wzbudzić wśród nich uzasadnione oburzenie . Ponadto, w przeciwieństwie do sytuacji w E.S komentarze nie zostały przedstawione na spotkaniu z udziałem niewielkiej liczby osób, ale dotarły do bardzo szerokiego grona odbiorców.*

*Co więcej, kwestionowane wypowiedzi dotyczyły istotnego elementu tożsamości wielu grup religijnych i miały na celu ośmieszenie tych grup. Były motywowane uprzedzeniami i przekazywały negatywny stereotypowy obraz wierzących z kilku wyznań, piętnując określone grupy religijne jako osoby słabo wykształcone, wierzące w przesady. Mogłyby być słusznie postrzegane przez te grupy religijne jako poważnie naruszające godność, poczucie tożsamości oraz poczucie własnej wartości i pewności siebie członków tych grup.*

*W tych okolicznościach nie można twierdzić, że wnioski, do których doszły polskie sądy, były bezpodstawne i nieuzasadnione. Karząc skarżącą za jej stwierdzenia, władze działały w celu*

*zachowania pokoju religijnego i zapobieżenia temu, by osoby (z kilku grup religijnych) miały poczucie, że element ich tożsamości może bezkarnie stać się przedmiotem nieuzasadnionych i obraźliwych ataków słownych, motywowanych uprzedzeniami i odrzuceniem grup, których to dotyczy. Nie zgadzam się zatem z poglądem wyrażonym w paragrafie 64, że badane wypowiedzi „nie stanowiły niewłaściwego lub obraźliwego ataku na obiekt kultu religijnego, mogącego podżęgać do nietolerancji religijnej lub naruszać ducha tolerancji, który jest jedną z podstaw społeczeństwa demokratycznego”.*

I dalej sędzia Wojtyczek pisał tak: *„Większość odnosi się do dokumentów prawa miękkiego Rady Europy i Unii Europejskiej definiujących mowę nienawiści lub opowiadających się za zniesieniem przestępstwa bluźnierstwa (zob. paragrafy 29-31 wyroku). Problem z podejściem w nim odzwierciedlonym polega na tym, że nie uwzględnia ono w wystarczającym stopniu specyfiki religii jako zjawiska społecznego i nie zapewnia wystarczającej ochrony grupom religijnym. Agresja skierowana przeciwko sacrum dotyczy jednostki i grupy jednostek. Przedmiotowa kwestia prawna dotyczy jednostek, a nie religii czy ideologii. Nieuzasadnione zniewagi skierowane przeciwko sferze sacrum są formą agresji słownej wobec wierzących, która zwykle jest przez nich odczuwana jako o wiele bardziej obraźliwa i bolesna niż zniewaga wymierzona bezpośrednio w członków jakiejś grupy religijnej. Znieważanie lub wyszydzanie sfery sacrum jest także narzędziem promowania wykluczenia i rozwijania uprzedzeń społecznych wobec określonych grup religijnych i wpływa na godność, poczucie tożsamości oraz poczucie własnej wartości i pewności siebie członków tych grup. W rezultacie, pokój religijny i harmonijne współistnienie różnych wierzeń i przekonań filozoficznych może zostać podważone.*

*Jak stwierdzono powyżej, niniejsza sprawa wykazuje podobieństwa do I.A. przeciwko Turcji i E.S. przeciwko Austrii, w której Trybunał nie stwierdził naruszeń Artykułu 10. W tym kontekście najnowsze orzecznictwo może stwarzać wrażenie, że w sprawach dotyczących islamu Trybunał postępuje zgodnie z przyjętym podejściem i stara się skutecznie chronić uczucia religijne przed mową antyreligijną, podczas gdy w przypadkach dotyczących innych religii podejście to ewoluowało, a ochrona oferowana wierzącym przed obraźliwą mową antyreligijną osłabła”.*

Przytoczyłem tu prawie całą opinię sędziego Wojtyczka, w przeciwieństwie do opinii większości składu orzekającego, którą potraktowałem dość zdawkowo. Lecz to właśnie niekorzystna dla Dody opinia sędziego z Polski w całej tej sprawie wydaje mi się szczególnie godna uwagi.

Dlaczego? Otóż, aby to stwierdzić, musimy cofnąć się do opinii większości. Jak była już tu mowa, większość sędziów rozpatrujących skargę Dody uznała, że wypowiedź, za którą została ona skazana przez polskie sądy nie stanowiła „mowy nienawiści”. Jest to stwierdzenie, z którym według mnie nie sposób jest się nie zgodzić. Czegokolwiek nie dałoby się powiedzieć o słowach Dody wypowiedzianych w wywiadzie dla „Dziennika” to na pewno nie to, że słowa te celowo zachęcały do wrogości wobec jakiejś grupy religijnej. Nie sposób dopatrzyć się też w tych słowach obelg, skierowanych przeciwko tego rodzaju grupie, obrażania takiej grupy, co mogłoby zostać uznane za przestępstwo z art. 257 polskiego kodeksu karnego zgodnie z którym karze do 3 lat więzienia podlega ten, kto publicznie

znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takiego powodu narusza nietykalność cielesną innej osoby. Owszem, sposób w jaki Doda odniosła się do Biblii mógł być rażący dla niektórych ludzi, dla których treści zawarte w tej księdze stanowią świętość – gdyby tak nie było, zapewne nikt nie złożyłby na nią donosu do prokuratury i Doda nie zostałaby oskarżona o obrazę uczuć religijnych. Lecz słowa Dody o Biblii nie były, chciałbym to zauważyć, nacechowane jakąś nienawiścią, agresją, czy pogardą – moim zdaniem można się w nich było dopatrzeć co najwyżej niedowiarstwa, ironicznego dystansu, może lekceważenia – ale nie takiej emocji, jak nienawiść.

Sędzia Wojtyczek nie stwierdził bezpośrednio tego, że wypowiedź Dody była „mową nienawiści”. Takie stwierdzenie wymagałoby zbyt wielkich manipulacji tym i tak przecież wysoce nieprecyzyjnym pojęciem. Lecz chciałbym mimo wszystko zauważyć, że argumenty, jakimi sędzia Wojtyczek posłużył się w celu uzasadnienia opinii, że skazanie Dody było słuszne – takie, jak argument, że wypowiedzi antyreligijne stanowią pośrednie podżeganie do poważniejszych przestępstw przeciwko grupom religijnym lub ich konkretnym członkom (takich, jak fizyczne ataki na miejsca kultu religijnego lub na członków takich grup, w tym osoby duchowne), a także argument, że wypowiedzi takie, jak Dody mogą być słusznie postrzegane przez (...) grupy religijne jako poważnie naruszające godność, poczucie tożsamości oraz poczucie własnej wartości i pewności siebie członków tych grup są dokładnie takie same jak te, do których zwolennicy zakazów *hejtspiczu* odwołują się w celu uzasadnienia opinii, że „mowa nienawiści” powinna być uznawana za przestępstwo.

Są to argumenty dające się obronić jako argumenty uzasadniające ograniczenia wolności słowa – takie np. jak zakazy wypowiedzi bluźnierczych czy mowy nienawiści? Próbując odpowiedzieć na to pytanie warto argumenty te przetestować w sposób polegający na zastosowaniu ich w sposób konsekwentny, tj. w odniesieniu do wszelkich rodzajów wypowiedzi, wobec których argumenty te można byłoby przekonująco zastosować, a nie tylko w odniesieniu do takich, których faktyczne zakazy – względnie dążenia do ich zakazania (co w Polsce ma miejsce np. z mową nienawiści odnoszącą się do ludzi z powodu takich ich cech, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna) uzasadnia się często przy użyciu tego rodzaju argumentów.

Na pierwszy ogień weźmy tu argument, że wypowiedzi antyreligijne – takie, jak wspomniana tu wypowiedź Dody – stanowią pośrednie podżeganie do poważniejszych, niż same te wypowiedzi, przestępstw przeciwko grupom religijnym i konkretnym członkom tych grup. Trzeba tu wyraźnie podkreślić słowo *pośrednie*, gdyż w czym jak w czym, ale w wypowiedzi Dody bezpośredniego podżegania do jakichkolwiek przestępstw nie można się dopatrzeć za żadną cholerę.

Argument, że pewne wypowiedzi mogą być prawnie zakazane z tego powodu, że stanowią one pośrednie podżeganie do takich lub innych przestępstw – np. aktów przemocy – z pewnością nie jest argumentem odrzucanym przez Europejski Trybunał Praw Człowieka jako jedno z uzasadnień ograniczenia wolności słowa, którą organ ten zasadniczo rzecz biorąc ma za zadanie chronić. Nie jest to też argument, o którym dałoby się powiedzieć to, że jest on w oczywisty sposób absurdalny, oparty na bezsprzecznie fałszywych przesłankach. I tak np. w

odniesieniu do *mowy nienawiści* nie da się najczęściej twierdzić, że mowa ta bezpośrednio prowadzi rasistowskich, antysemickich, homofobicznych czy skierowanych przeciwko członkom takich lub innych grup wyznaniowych przestępstw. Lecz nie jest czymś po prostu niedorzecznym opinia, że nasłuchanie bądź nacytanie się nienawistnych i/lub obelżywych wypowiedzi na temat takich czy innych grup może w przypadku niektórych osób prowadzić do przekonań i emocji, w wyniku których *niektóre z tych niektórych* osób mogą posunąć się do popełnienia przestępstw przeciwko osobom należącym do grup atakowanych przez mowę nienawiści, z którą osoby te się wcześniej stykały. I dość w sumie naturalne jest to, że niektórzy ludzie uważają, że (np.) mowa nienawiści z takiego właśnie (choć niekoniecznie wyłącznie z takiego) powodu powinna być prawnie zakazana.

Argument ten warto jest jednak przetestować poprzez przyjrzenie się temu, jak będzie się on odnosił do takich rodzajów wypowiedzi, których ludzie odwołujący się do tego argumentu w celu uzasadnienia takich czy innych ograniczeń wolności słowa – a więc np. mowy nienawiści, pornografii (czy pewnych jej rodzajów – takich np. jak pornografia związana z prezentowaniem scen przemocy bądź tzw. wirtualna pornografia dziecięca) czy też wypowiedzi atakujących religię – raczej niekoniecznie chcieliby zakazać. Co wynika z takiego przetestowania owego argumentu?

Aby do tego dojść, pomyślmy o pewnych rodzajach przestępstw i zastanówmy się nad tym, co do popełniania takich przestępstw przynajmniej pośrednio musi – na zdrowy rozum – się przyczyniać. Weźmy tu taki choćby przykład: jak powszechnie chyba wiadomo, muzułmańscy fanatycy dokonują niekiedy aktów terroru – takich, jak np. pokładanie bomb – i dokonywanie tego rodzaju czynów uzasadniają odwołując się do takich lub innych wersetów z Koranu bądź z Hadisów, tj. opowieści o życiu i czynach proroka Mahometa. Z powyższego faktu nie trudno byłoby więc wyciągnąć wniosek, że publikowanie i rozpowszechnianie Koranu czy też Hadisów stanowi co najmniej pośrednie podżeganie do dokonywania zamachów bombowych, masowych strzelanin, ucinania ludziom głów itp. Oczywiście, mało kto z ludzi, którzy przeczytali Koran czy też Hadisy w wyniku wpływu na niego treści zawartych o owych księgach posunął się do dokonania jakichś aktów przemocy. Jak zapewne wiemy, znakomita większość muzułmanów, dla których przekazy zawarte we wspomnianych dziełach stanowią podstawę wiary nie jest terrorystami i tylko jakaś niewielka część wyznawców islamu uważa terroryzm za rzecz akceptowalną. Lecz mimo wszystko czymś rozsądnym wydaje się przypuszczenie, że islamscy ekstremiści, którzy podkładają bomby i strzelają do ludzi nie zostaliby islamskimi ekstremistami i nie dokonywaliby takich czynów, gdyby treści zapisane w Koranie i/lub w Hadisach nie trafiły wcześniej do ich uszu czy oczu. Ostatecznie rzecz biorąc, to Koran stanowi całą podstawę islamu – a dla wyznawców sunnickiej gałęzi islamu Hadisy są ważnym uzupełnieniem Koranu i wskazówką, jak należy go interpretować (szyici, jak chyba wiemy, nie uznają Hadisów i za jedyne źródło swej wiary uznają Koran). Nikt oczywiście nie twierdzi w sposób poważny tego, że wpływ treści zawartych w Koranie i/lub w Hadisach może być jedyną i wyłączną przyczyną dokonywania przez pewnych ludzi brutalnych zbrodni. Jak zapewne wiemy, wśród czynników motywujących niektórych muzułmanów do uprawiania terroryzmu są takie, jak np. gniew wobec polityki krajów zachodnich wobec świata islamskiego, w tym w szczególności wspierania przez te kraje państwa żydowskiego – Izraela (tego gniewu, przynajmniej w

przypadku muzułmanów nie żyjących w Izraelu – mam tu na myśli zarówno terytorium bezpośrednio rządzone przez władze izraelskie, jak i tzw. Autonomię Palestyńską oraz Strefę Gazy, gdzie ciężka ręka izraelskiego rządu wobec muzułmanów bywa po prostu bezpośrednio odczuwana – też oczywiście nie byłoby bez takich czy innych przekazów, płynących przede wszystkim z mediów). Wiemy też chyba, że islamscy terroryści niekoniecznie są wzorowymi muzułmanami. Niejednokrotnie są to, lub byli ludzie, którzy jeszcze jakiś czas przed dokonaniem swoich zbrodniczych czynów pili zakazany przecież przez Koran alkohol, uprawiali seks przedmałżeński – który według Koranu jest grzechem i przestępstwem zasługującym na sto batów chłosty - i w ogóle nie przywiązywali specjalnej wagi do spraw wiary. Lecz mimo wszystko trudno jest sobie poważnie wyobrazić to, że dokonujący aktów terroru islamscy fanatycy mogliby zostać islamskimi fanatykami, gdyby treści zawarte w Koranie czy też Hadisach nigdy do nich nie dotarły i nie mogły mieć na nich żadnego wpływu. Idąc tropem rozumowania zaprezentowanego przez sędziego Wojtyszka w jego *votum separatum* w sprawie Dody bez większego trudu można byłoby zatem stwierdzić, że publikowanie i rozpowszechnianie Koranu czy też Hadisów jest pośrednim podżeganiem do popełniania wyjątkowo poważnych i dotkliwych w swych skutkach przestępstw.

I to samo można byłoby powiedzieć o innych, niż wspomniane powyżej treściach, o których z powodzeniem można byłoby twierdzić, że przyczyniają się one do dokonywania aktów przemocy przez niektórych wyznawców islamu. Jest np. rzeczą wiadomą, że w okresach szczególnego zaostrzenia się konfliktu izraelsko – palestyńskiego wokół tzw. Strefy Gazy zwiększała się liczba dokonywanych przez francuskich (i innych europejskich) muzułmanów aktów przemocy przeciwko Żydom. Oczywiście, francuscy, brytyjscy, niemieccy czy jeszcze inni europejscy muzułmanie dokonujący fizycznych ataków na Żydów (czy też na żydowskie mienie) w wyniku oburzenia wywołanego np. ostrzeliwaniem przez izraelską armię Strefy Gazy i powodowanych przez nie cierpień tamtejszej ludności nie mogli bezpośrednio, na własne oczy widzieć wybuchających w Strefie Gazy izraelskich pocisków, widzieć zabitych i rannych, słyszeć płaczu dzieci i na własnej skórze odczuwać powodowanych przez izraelskie wojsko zniszczeń. Mogli oni wiedzieć o tych wszystkich rzeczach i jakoś odczuwać je tylko dzięki temu, że przekazy na temat tych rzeczy w postaci zdjęć, filmów i odnoszących się do nich wypowiedzi słownych trafiały do ich oczu i uszu. To zatem, że przekazy na temat izraelsko – palestyńskiego konfliktu w Gazie pośrednio przyczyniały się do popełniania antysemickich przestępstw przez niektórych muzułmanów jest rzeczą praktycznie niewątpliwą. Lecz jakby jednak nie było, mówienie i pisanie o takich, przykładowo, sprawach, jak jakiś konflikt zbrojny na świecie jest czymś, co w każdym kraju elementarnie respektującym wolność słowa i mediów uchodzi za rzecz całkowicie normalną. Nikt też chyba nie proponuje tego, by zakazać np. wyrażania współczucia dla ofiar takich zdarzeń i oburzenia wobec ich sprawców. To, że wolność słowa obejmuje tego rodzaju wypowiedzi wydaje się rzeczą oczywistą.

Lecz czy wolność słowa obejmowałaby takie wypowiedzi w przypadku, gdyby argument użyty przez sędziego Wojtyszka w sprawie Dody został zastosowany w sposób konsekwentny? Jak już wspomniałem, niektóre antysemickie przestępstwa w Europie, mające miejsce w czasie np. ostrzeliwania przez Izrael strefy Gazy w 2014 r. nie miałyby miejsca, gdyby do sprawców tych przestępstw nie trafiły przekazy na temat tego, co w Strefie Gazy się

dzieje. Nie miałyby miejsca, bo po prostu nie mogłyby mieć – nikt przecież nie może bezpośrednio, bez pośrednictwa w postaci jakiegoś medium – np. telewizji, czy Internetu - widzieć tego, co dzieje się tysiące kilometrów od miejsca, w którym się on fizycznie znajduje. Gdyby więc konsekwentnie iść tropem rozumowania sędziego Wojtyszka zaprezentowanego przez niego w jego opinii w sprawie *Rabczewska v. Poland* to należałoby stwierdzić, że przekazy tego rodzaju, co te dotyczące konfliktu w Strefie Gazy są pośrednim podżeganiem do popełniania poważnych przestępstw i jako takie powinny być prawnie zakazane.

I idźmy dalej wskazanym przez polskiego sędziego ETPC tropem myślenia. Jakiś czas temu przeczytałem napisany przez holenderskich autorów tekst, w którym poruszony został problem tego, czy i jak w Holandii nagłośnione przez media wypowiedzi o charakterze mowy nienawiści, represje z powodu takich wypowiedzi, oraz akty terroru przyczyniają się do dokonywania przestępstw z nienawiści. Co z tego tekstu wynikało? Otóż to, że głośne wypowiedzi o charakterze *hate speech* i represje za takie wypowiedzi przyczyniały się do zwiększonej liczby przestępstw z nienawiści bez użycia przemocy (czyli np. takich, jak werbalne dręczenie jakichś osób) lecz nie powodowały skoków liczby tych przestępstw z nienawiści, których popełnienie polegało na użyciu fizycznej siły. Do tych ostatnich natomiast najwyraźniej przyczyniały się akty terroru.

Co jest praktycznie oczywiste, to to, że sprawcy niektórych przestępstw z nienawiści z użyciem przemocy w Holandii, których liczba zwiększała się w krótkim czasie po nagłośnionych przez media zamachach terrorystycznych nie byli bezpośrednimi świadkami tych zamachów, a tylko dowiadywali się o nich ze środków masowego przekazu. Wydawać by się mogło, że mówienie i pisanie o tym, że gdzieś – w Paryżu, w Londynie, w Madrycie, w Nowym Jorku, czy też w Kabulu albo w Bagdadzie miał miejsce zamach terrorystyczny i że w wyniku owego zamachu zginęło iluś tam ludzi jest w respektującym choćby w podstawowy tylko sposób swobodę wypowiedzi państwie czymś zupełnie normalnym – podobnie, jak czymś normalnym jest informowanie o tym, że danego zamachu dokonała np. Al Kaida lub Państwo Islamskie. Lecz biorąc pod uwagę wspomniany tu wcześniej fakt, że informacje o zamachach terrorystycznych powodowały w Holandii skoki liczby przestępstw z nienawiści polegających na użyciu przemocy (nie jest przy tym oczywiście powiedziane, że w innych krajach nie miały miejsca rzeczy podobne), to idąc tropem rozumowania zaprezentowanego przez sędziego Wojtyszka w sprawie Dody szerzenie takich informacji bez specjalnego problemu można byłoby uznać za pośrednie podżeganie do stosowania przemocy przeciwko ludziom należącym do tych samych grup religijnych (czy jeszcze innych – np. narodowościowych), do których należeli terroryści, bądź (z mniejszym chyba prawdopodobieństwem) przeciwko ludziom należącym do tych samych grup, co ofiary aktów terroru. Nawiasem mówiąc, warto zauważyć, że powód do uznania takich wypowiedzi za zwiększające niebezpieczeństwo przestępstw z nienawiści z użyciem przemocy pośrednie podżeganie – którego karalność zdaniem sędziego Wojtyszka (choć też zdaniem w ogóle zwolenników zakazów *hate speech*) jest (przynajmniej w odniesieniu do niektórych typów wypowiedzi) uzasadniona – jest o wiele mocniejszy w odniesieniu wypowiedzi informujących o aktach terroru, niż w odniesieniu do takich wypowiedzi, jak wypowiedź Dody, z powodu której została ona skazana za przestępstwo obrazy uczuć religijnych, czy nawet w odniesieniu do klasycznej mowy nienawiści. Przypomnę tu jeszcze raz, że po

nałożonych przez media zamachach terrorystycznych następowały w Holandii statystycznie istotne wzrosty liczb przestępstw z nienawiści z użyciem przemocy. Nie zetknąłem się natomiast z żadną informacją o jakichś przestępstwach, które ktoś choćby próbowałby wiązać z wypowiedzią Dody na temat Biblii. Podobnie, przypadki mowy nienawiści powodowały w Holandii wzrosty liczby przestępstw z nienawiści, choć nie tych z użyciem siły. Można więc z tego wywnioskować, że mowa taka – poniekąd zakazana przez holenderski kodeks karny – jakkolwiek nie jest czymś po prostu nie przyczyniającym się do jakichkolwiek szkód – to mimo wszystko przyczynia się ona do mniejszych szkód, niż (całkowicie oczywiście legalne w Holandii) informowanie o aktach terroru. Tak nawiasem mówiąc, to wspomniane tu wcześniej przełożenie przypadków mowy nienawiści na zwiększoną przez jakiś krótki czas po takich wypowiedziach liczbę przestępstw z nienawiści bez użycia przemocy mogło być czymś faktycznym w odniesieniu do przypadków takiej mowy w wykonaniu szczególnie znanych uczestników życia publicznego, takich np. jak antyimigracyjny polityk Geert Wilders, których wypowiedzi są szeroko nagłaśniane przez media, a nie w przypadku np. wszelkich nienawistnych wypowiedzi w Internecie. Warto też wspomnieć, że oskarżenia i wyroki skazujące Wildersa za mowę nienawiści też powodowały wzrosty liczby wspomnianych przestępstw.

I weźmy inne przykłady wypowiedzi, odnośnie których sędzia Wojtysek zapewne nie stwierdziłby, że powinny być one prawnie zakazane (ani też za zakazem takich wypowiedzi nie byłoby – jak sądzę – typowi zwolennicy zakazów hate speech), a które jednak z powodzeniem można byłoby uznać za pośrednie podżeganie do poważnych przestępstw. Przykładem mogą tu być np. głośne przeszło rok temu informacje o odkryciach masowych grobów dzieci na terenie prowadzonych kiedyś przez m.in. Kościół Katolicki szkół dla Indian w Kanadzie. Wieści o tych odkryciach wywołały w kanadyjskim społeczeństwie powszechne wzburzenie i doprowadziły do masowych protestów. Większość z tych protestów miała, rzecz jasna, charakter pokojowy. Lecz miały też miejsce akty wandalizmu, a także np. podpalenia kościołów. Chciałbym przytomnie zauważyć, że jest rzeczą kompletnie nieprawdopodobną to, by ktoś podpalił kościół w następstwie wzburzenia tym, co księża robili kiedyś z indiańskimi dziećmi, gdyby ten ktoś o tym, co księża robili kiedyś z tymi dziećmi wcześniej nie przeczytał lub nie usłyszał. Tak więc, konsekwentnie podążając tropem rozumowania zaprezentowanego przez sędziego Wojtyska w sprawie *Rabczewska v. Poland* wypowiedzi mówiące o jakichś niecznych czynach kleru z powodzeniem można byłoby uznać za pośrednie podżeganie do popełniania takich przestępstw, jak fizyczne ataki na miejsca kultu religijnego, czy też bicia lub nawet zabijania osób duchownych.

I idąc dalej, za pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw z użyciem przemocy można byłoby uznać np. wypowiedzi mówiące o tym, że wirus SARS-CoV-2, powodujący chorobę COVID-19 wziął się z Chin. W czasie wciąż przecież jeszcze trwającej epidemii koronawirusa w wielu krajach świata miały miejsce tragiczne czasem w skutkach napaści na Chińczyków, motywowane przez ich sprawców przekonaniem, że Chińczycy są winni pandemii tej choroby. Pomysł, by w wolnym kraju można było zakazać mówienia i pisanie o tym, że wirus SARS-CoV-2 pochodzi z Chin wydaje się absurdalny. Lecz mimo wszystko chciałbym zauważyć, że jest rzeczą nieprawdopodobną to, by jakiegoś Chińczyka w następstwie przekonania o tym, że Chińczycy są winni pandemii koronawirusa mógł

zaatakować kogoś, kto wcześniej nie zetknąłby się z żadnym przekazem mówiącym o chińskim pochodzeniu tego patogenu. Podobnie też za pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw można byłoby uznać wypowiedzi mówiące o potencjalnie katastrofalnych skutkach globalnego ocieplenia. Wystarczy chwilę pomyśleć, by dojść do wniosku, że Francisco Lotero i Miriam Coletti z Argentyny nie zabiliby swojego dziecka, nie usiłowałiby zamordować drugiego i nie zastrzeliliby się ze strachu przez skutkami globalnego ocieplenia, gdyby wcześniej nie słyszeli lub nie czytali niczego o efekcie cieplarnianym i jego możliwych konsekwencjach. To samo można oczywiście powiedzieć np. o ludziach, którzy w następstwie przejścia się zagrażającym światu globalnym ociepleniem podpalali szczególnie jakoby napędzające efekt cieplarniany samochody typu SUV. Nikt przecież nie mógłby się przejąć globalnym ociepleniem – i zrobić coś (dobrego albo złego) w następstwie tego przejścia się możliwymi efektami tego zjawiska, gdyby ten ktoś nigdy nie zetknął się żadną informacją o globalnym ociepleniu.

Za pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw z powodzeniem można byłoby też uznać wypowiedzi przeciwników dopuszczalności aborcji. Jak wiadomo, niektórzy ludzie przekonani do opinii, że aborcja jest wołającym o pomstę do nieba złem dokonywali takich czynów, jak podpalanie klinik aborcyjnych i zabójstwa lekarzy wykonujących zabiegi przerwania ciąży. Wypowiedzi rzeczników prawa kobiet do decydowania o przerwaniu ciąży można by było – gdyby chcieć tego – potraktować tak samo: lista aktów przemocy przeciwko oponentom prawa do aborcji ze strony krewkich zwolenników prawa kobiet do wyboru w tej kwestii jest całkiem długa. Dokładnie to samo, co o wypowiedziach przeciwników i zwolenników prawa do aborcji można byłoby powiedzieć o wypowiedziach obrońców praw zwierząt. Przecież takich czynów, jak ataki na rzeźnie, czy laboratoria, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach nie dokonują ludzie, którzy nic nie słyszeli i nie czytali o cierpieniach zwierząt w takich miejscach – przeciwnie, takie czyny popełniają niektórzy ludzie, którzy pod wpływem pewnych wypowiedzi przejęli się losem zwierząt zabijanych na żywność czy futra lub wykorzystywanych w laboratoryjnych doświadczeniach i nabrali przekonania, że eksploatacja zwierząt jest moralnym złem. To samo można byłoby w ogóle powiedzieć o wypowiedziach rzeczników obrony środowiska – eko-terrorystą, gotowym bronić środowiska przed ludzką ingerencją przy użyciu przemocy raczej nie zostanie ktoś, kto w życiu nie natrafił na żadne treści mówiące o zagrożeniach środowiska ze strony ludzkiego gatunku i kimś takim z większym na zdrowy rozum prawdopodobieństwem zostanie też ktoś, kto został przekonany do niezakazanego przecież prawnie poglądu, że wszelkie organizmy mają równą wartość i takie samo prawo do istnienia, a człowiek nie ma prawa niszczyć innych organizmów w stopniu większym, niż jest to niezbędne dla zaspokojenia jego nieodzownych życiowych potrzeb, niż ktoś kto z ideami biocentryzmu nigdy się nie zetknął. I to samo da się powiedzieć o np. wypowiedziach wyrażających obawy (uzasadnione czy też nieuzasadnione) wobec skutków manipulacji genetycznych i bio lub nanotechnologii. Przecież takich przestępstw, jak podpalanie laboratoriów, gdzie prowadzi się badania w dziedzinie genetyki czy bio lub nanotechnologii nie dokonują ludzie, do których nie trafiły żadne treści sugerujące niebezpieczeństwo tego, co robi się w takich miejscach – przestępstwa takie popełniają niektórzy ludzie, którzy pod wpływem takich czy innych wypowiedzi nabrali przekonania, że manipulacje genetyczne bądź bio lub nanotechnologia są czymś potencjalnie zgubnym.

Analogicznie, niedawne podpalenia masztów telekomunikacyjnych faktycznie czy rzekomo wykorzystujących technologię 5G nie zdarzyłyby się bez przekonania sprawców tych czynów do opinii, że technologia ta jest czymś groźnym dla ludzkiego zdrowia lub nawet życia. Mądre czy głupie (sądzę, że głupie), opinie takie nie należą do tych, których szerzenie w państwach trochę choćby respektujących prawo do swobody wypowiedzi jest zakazane. Lecz konsekwentnie stosując logikę zaprezentowaną przez sędziego Wojtyszka w jego opinii w sprawie Dody (jak również logikę prezentowaną przez zwolenników zakazów mowy nienawiści – będący niewątpliwie zwolennikiem zakazów nie tylko mowy nienawiści skierowanej bezpośrednio przeciwko takim czy innym osobom lub całym grupom osób, lecz także zakazów wypowiedzi atakujących choćby tylko abstrakcyjnie religię sędziego Wojtyszek posunął się w tej logice po prostu cokolwiek dalej od typowych zwolenników zakazów *hate speech*) z powodzeniem można byłoby uznać, że wyrażanie takich opinii jest pośrednim podżeganiem do popełniania przestępstw i dojść do wniosku, że szerzenie tego rodzaju opinii (podobnie, jak wszystkich tu wcześniej wspomnianych) powinno być prawnie zakazane.

I jakich jeszcze wypowiedzi można byłoby zabronić w oparciu o argument, że stanowią one pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw? Co np. z Biblią – o której autorach powiedzmy że dość lekko wyraziła się Doda? Głównym przykazaniem moralnym chrześcijaństwa, którego Biblia jest jak wiadomo podstawą jest, jak wiadomo *„będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca swego, z całej duszy swojej i ze wszystkich myśli swoich, a bliźniego swego, jak siebie samego”*. Lecz lista okrucieństw dokonanych przez chrześcijan w imię swojej wiary – jak doskonale chyba wiemy – jest niezwykle obszerna. Takie czyny, jak siłowe nawracanie pogan na chrześcijaństwo i burzenie ich świątyń, wyprawy krzyżowe, palenie czarownic, wojny religijne i działania inkwizycji nie były czynami ludzi indyferentnych religijnie (w dawnych wiekach takich zresztą niemal nie było), lecz czynami osób przejętych przesłaniami zawartymi w Piśmie Świętym i głęboko wierzących w ich prawdziwość i słuszność. Oczywiście, o masowej przemocy stosowanej przez chrześcijan przeciwko czy to poganom, czy Żydom, czy kacerzom, czy ateistom bez specjalnych wątpliwości można stwierdzić, że należy ona do odległej już dzisiaj przeszłości. *To se ne vrati* – jak mówią Czesi – można nie mieć co do tego obaw. Lecz w czasach współczesnych można znaleźć całkiem liczne przykłady przestępstw, które pokazują, że treści zawarte w Biblii czy też bezpośrednio inspirowane przez nią mogą na niektórych, zapewne psychicznie zaburzonych (a nie ma takich w każdym społeczeństwie?) osobnikach mieć naprawdę niebezpieczny wpływ. Miałem już okazję w pewnych swoich tekstach wspomnieć o kimś takim, jak niejaki John List, który w 1971 r. zamordował swą matkę, żonę i trójkę dzieci po to, by uchronić ich dusze od pójścia do piekła, gdzie w jego odczuciu niechybnie trafiłyby one, gdyby osoby te według ich zabójcy żyły dłużej. Co jest chyba oczywiste, to to, że List nie zamordowałby swoich bliskich w celu uratowania ich dusz przed piekłem, gdyby wcześniej nie dowiedział się on skądś o tym, że istnieje takie miejsce, jak piekło, gdzie trafiają i cierpią przez całą wieczność potworne męczarnie dusze (a po Sądzie Ostatecznym także i ciała) grzeszników i że jest też niebo, gdzie dusza człowieka również może, aczkolwiek niestety nie musi, trafić. Mówienie i pisanie o tym, że istnieje coś takiego, jak piekło powinno – mogłoby się zdawać – powstrzymywać ludzi przed czynieniem zła, a zwłaszcza już wielkiego zła, takiego, jak np. masowe morderstwo. Lecz w przypadku Johna

Lista przekazy o piekle i niebie przyczyniły się do stworzenia u niego mentalnego podłoża do dokonania potwornej zbrodni. Z kolei komuś takiemu jak Albert Fish motywacji do mordowania i kastrowania dzieci dostarczyła m.in. biblijna opowieść o Abrahamie i Izaaku. Fish był w ogóle wręcz opętany myślami o grzechu, karze, pokucie i odkupieniu – a więc ideami, których podstawowym źródłem jest Pismo Święte. Powieszony w 1949 r. za sześć morderstw (osobiście twierdził, że popełnił ich dziewięć) brytyjski wampir John George Haigh po raz pierwszy zaczął marzyć o zabijaniu ludzi i piciu ich krwi obserwując Komunię Świętą – obrzęd zarówno Kościoła Katolickiego jak i Anglikańskiego. Do zbrodniczych ciągów Haigha przyczyniły się też medytacje przed wiszącym w anglikańskiej katedrze w Wakefield obrazem krwawiącego i cierpiącego na krzyżu Chrystusa, który wywierał na nim tak wielkie wrażenie, że pod wpływem jego widoku Haighowi śnił się cały las krzyży, z których ktoś zbierał do kubka ściekającą z nich krew i chciał ją dać mu do picia, lecz zanim do tego ostatniego doszło, Haigh zawsze się budził. Niemożność zaspokojenia pragnienia napicia się krwi, do którego prowadziły u Haigha sny, do których przyczyniało się patrzenie na wspomniany wcześniej obraz, zaś bardziej pośrednio kult Krwi Chrystusa, będący szczególnym rysem sekty Braci Plymuckich, do której Haigh wraz ze swą rodziną należał wywoływała u niego mordercze żądze. Z kolei nie bezpośrednio pod wpływem lektury Biblii, lecz pod wpływem obejrzenia opartego na treściach biblijnych filmu Dziesięcioro Przykazań – a konkretnie fragmentu tego filmu, w którym został pokazany taniec żydowskich kobiet wokół Złotego Cielca – niejaki Heinrich Pommerenke doznał olśnienia i pojął nagle, że kobiety są winne wszelkiemu złu na tym świecie, a jego powierzona mu przez Boga misją jest ich karanie i dokonywanie na nich egzekucji. W następstwie owego olśnienia, wywołanego obejrzeniem niewinnej, zdawałoby się sceny Heinrich Pommerenke dokonał czterech morderstw, w tym jednego niedługo po wyjściu z kina, a także dwunastu prób zabójstwa i dwudziestu gwałtów. W poruszonym tu kontekście warto też wspomnieć sprawę ataku przy użyciu sarinu na tokijskie metro w marcu 1995r. Jak można przeczytać w książce Jacka Sieradzana „Od kultu do zbrodni” odpowiedzialna za ten atak japońska sekta Aum Shinrikjo była początkowo grupą nie stosującą przemocy przeciwko ludziom nie będącym jej członkami. Dopiero zetknięcie się z chrześcijańskim millenaryzmem (Apokalipsą Św. Jana Apostoła, prorocत्वami Nowego Testamentu i przepowiedniami Nostaradamusa) skierowało jej przywódcę, Shoko Ashaharę na drogę przemocy i sprawiło, że „*Aum Shinrikjo z grupy praktykujących jogę i medytację przekształciła się w jedną z najbardziej gwałtownych i morderczych organizacji religijnych współczesności*”.

I można wskazać jeszcze inne przykłady całkiem niewinnych, zdawałoby się, wypowiedzi, których wpływ na niektóre osoby przyczynił się do popełnienia przez nie poważnych przestępstw. I tak np. kilka lat temu krytyka planowanych przez PiS zmian w kodeksie wyborczym ze strony posła PO Borysa Budki, polityków Nowoczesnej i niektórych dziennikarzy wywołała u pewnego człowieka emocje, które doprowadziły go do podpalenia biura poselskiego ówczesnej posłanki Solidarnej Polski Beaty Kempy. W przypadku amerykańskiego terrorysty Theodora Kaczynskiego „Unabombera”, który przez szereg lat wysyłał bomby różnych ludzi, w tym naukowców w imię przekonania o szkodliwości postępu technicznego ważną rolę w rozwoju jego poglądów, które stały się podłożem zbrodniczych czynów odegrały publikacje francuskiego pisarza Jacquesa Ellula, w których ten dowodził, że

technologia szkodzi ludziom, narzucając im swe normy i uzależniając ich od siebie, a także książki o życiu neandertalczyków i innych ludzi pierwotnych, pod wpływem których rozwinęła się u niego fascynacja pierwotnym stylem życia i nienawiść wobec kompletnie przeciwnej takiemu trybu życia cywilizacji opartej na technologii. Norweski masowy morderca Anders Breivik przytaczał w swym manifestie publikacje takich m.in. publicystów, jak Melanie Philips i Bruce Bawer jako „centralne dla ukształtowania się jego morderczej nienawiści wobec muzułmanów i kulturowych marksistów”. (3) Autorzy ci wyrażali takie opinie, jak to, że „zarzut ‘islamofobii’ jest używany do uciszania wszelkiej krytyki świata muzułmańskiego, w tym również islamskiego ekstremizmu”, że prezydent USA Barack Obama przyjął program islamistów i „jest mocno w ich obozie”, że muzułmanie osiedlający się w krajach Europy Zachodniej unikają integracji i kierują się wyłącznie prawem szariatu, unikając jednocześnie systemów prawnych państw – gospodarzy i pozwalając sobie na wyzyskiwanie kobiet i gejów, podobnie jak Żydów i innych nie muzułmanów, a także, że wzrastające wskaźniki urodzin wśród muzułmanów i ich „odmowa” integrowania się z nie-muzułmanami pozwoli im na zdominowanie europejskich społeczeństw w ciągu 30 lat i że jedynym sposobem na uniknięcie takiej katastrofy jest wycofanie się z politycznie poprawnych i multi-kulturalnych doktryn, które obecnie dominują na europejskim kontynencie. Twierdzenia wspomnianych autorów mogły być (i były) czymś wywołującym kontrowersje, lecz raczej trudno byłoby je uznać za karalną mowę nienawiści. Wypowiedzi, o których tu jest mowa nie dałoby się uznać, za np. publiczne znieważenie grupy ludności, jaką są muzułmanie z powodu jej przynależności wyznaniowej, gdyż wypowiedzi te nie zawierały obelg i obraźliwych wyrażen na temat muzułmanów. Podobnie też, raczej nie dałoby się uznać ich za nawoływanie do nienawiści na tle różnic wyznaniowych, gdyż trudno byłoby się dopatrzeć w tych wypowiedziach celowej próby wywołania jakichś skrajnie negatywnych emocji wobec muzułmanów, silniejszych w każdym razie od niechęci, nieufności i uprzedzeń – które to emocje, jak zwrócił swego czasu uwagę polski Sąd Najwyższy nie są jeszcze nienawiścią i w związku z tym „nawoływanie” do takich emocji nie może być traktowane jako przestępstwo z art. 256 §1 k.k. Jeśli ktoś zaś bardzo boi się przemocy motywowanej nienawiścią na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych czy jeszcze innych, tak, że chciałby zapobiegać tej przemocy przy użyciu takich np. zakazów wypowiedzi, jak te określone w art. 256 i 257 polskiego k.k. to komuś takiemu wspomnę, że jakiś czas temu czytałem pewną publikację na temat rasistowskiej przemocy w Niemczech w latach 90-tych XX wieku i z publikacji tej wynikało, że faktycznie ofiarami takiej przemocy padali najczęściej nie członkowie tych grup, które obiektywnie powodowały największe problemy społeczne, w sensie np. zajmowania miejsc pracy czy mieszkań, lecz osoby należące do tych grup, o których najczęściej wspominało w mediach. W tym przypadku (jak zresztą w szeregu innych, wcześniej tu wspomnianych) pewne wypowiedzi – czy może raczej rodzaje wypowiedzi – bo trudno byłoby tu mówić – podobnie zresztą, jak w przypadku np. mowy nienawiści – o konkretnych związkach przyczynowo – skutkowych między konkretnymi wypowiedziami, a konkretnymi czynami przestępczymi – niewątpliwie pośrednio przyczyniały się do pewnych aktów przemocy. Tyle tylko, że wypowiedzi te nie były surowo poniekąd karaną w Niemczech mową nienawiści – w wypowiedziach tych nie było znieważania, oczerniania czy zniesławiania jakichś grup narodowych, rasowych czy religijnych, ani nawoływania do nienawiści, przemocy czy arbitralnych działań przeciwko

takim grupom – co stanowi zagrożone karą od 3 miesięcy do 5 lat więzienia przestępstwo z art. 130 niemieckiego kodeksu karnego. Logicznie rzecz biorąc wynika z tego wniosek, że jeśli ktoś poważnie chciałby zapobiegać przemocy o charakterze rasistowskim, ksenofobicznym, antysemickim (czy jeszcze innym – np. homofobicznym) zakazując prawnie wypowiedzi, które do takiej przemocy w jakiś pośredni sposób mogą się przyczyniać, to musiałby zakazać (i skutecznie wyeliminować z rynku idei) bez porównania większy zakres wypowiedzi, niż te, które w Niemczech czy innych krajach europejskich bywają traktowane jako karalna *hate speech*. Chcąc konsekwentnie zakazać wypowiedzi, które co najmniej pośrednio mogą przyczyniać się do przemocy należałoby zabronić nie tylko mowy nienawiści – czy, powiedzmy, propagowania faszyzmu – ale też, chciałbym to zauważyć, wypowiedzi osób czy grup walczących z rasizmem czy próbami szerzenia idei ekstremalnie prawicowych. Takie wyczyny członków „Antify” jak np. brutalne pobicia osób składających kwiaty na grobie przywódcy przedwojennej „Zadruży” Jana Stachniuka 11 listopada 2005 r. na warszawskich Powązkach, ludzi jadących na tzw. marsz niepodległości w 2010 r. w Warszawie, czy też uczestników obchodów Dnia Żołnierzy Wyklętych w 2013 r. w Lublinie nie miałyby, na zdrowy rozum, miejsca bez przekonania ich sprawców do opinii o narastającym czy odradzającym się faszystowskim zagrożeniu, do tego, że dla szerzenia faszystowskich idei nie może być tolerancji i wreszcie do tego, że państwo jest wobec głosicieli takich poglądów nadmiernie tolerancyjne lub zwyczajnie bezradne – krótko mówiąc, do takich opinii, jakie głoszą antyfaszystowskie i antyrasistowskie organizacje w rodzaju stowarzyszeń „Otwarta Rzeczypospolita” czy „Nigdy Więcej”. W krajach zachodnich miały miejsce niezwykle brutalne ataki na osoby znane z szerzenia tzw. kłamstwa oświęcimskiego – takie, jak Robert Faurisson czy Ernst Zundel. Jeśli ataki te nie były dokonywane przez osoby, które np. osobiście przeżyły hitlerowskie obozy koncentracyjne – takich nie trzeba byłoby przekonywać do tego, że to, co mówią i piszą tacy ludzie jest nieprawdą – to czyny, o których jest tu mowa musiały być co najmniej pośrednim wynikiem tego, że ich sprawcy pod wpływem pewnych wypowiedzi nabrali przekonania, że to co robią tacy ludzie, jak wspomniani tu Zundel i Faurisson jest czymś niegodziwym i zasługującym na potępienie. Wracając do kwestii mowy nienawiści – dużo o takiej „mowie” mówiło się po mającym miejsce w styczniu 2019 r. zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza (choć raczej w dość luźnym rozumieniu tego pojęcia – niekoniecznie w sensie takich wypowiedzi, które można byłoby uznać za przestępstwo z art. 256 czy 257 kodeksu karnego – Paweł Adamowicz nie został przecież zamordowany z powodu swojej narodowości, czy też przynależności etnicznej, rasowej, wyznaniowej lub nie wyznawania żadnej religii). Badający zabójcę Pawła Adamowicza – Stefana Wilmonta – biegli psychiatrzy stwierdzili, że atakując swą ofiarę sprawca tego czynu kierował się fobią ukierunkowaną na Platformę Obywatelską: miał on winić polityków tej partii za stworzenie tzw. układu gdańskiego, czyli sieci kontaktów i powiązań pozwalających na kontrolowanie regionu, zaś sam deklarował się jako zwolennik PiS. Fobia Stefana W. która doprowadziła go do popełnienia zbrodni nie mogła zrodzić się u niego inaczej, jak pod wpływem pewnych wypowiedzi. Lecz wypowiedzi tego - generalnie rzecz biorąc - rodzaju, jak te oskarżające swego czasu polityków Platformy Obywatelskiej o stworzenie tzw. układu gdańskiego są przecież w życiu publicznym Polski i każdego innego demokratycznego kraju swego rodzaju chlebem powszednim. Ile złych rzeczy mówi się (poniekąd zresztą, jak sądzę, słusznie) na temat ludzi rządzących obecnie Polską?

Zarzuty, które publicznie stawia się tym ludziom nie są złejsze od tych, które swego czasu stawiano Pawłowi Adamowiczowi czy też działaczom PO (której członkiem w momencie swej śmierci Adamowicz już zresztą nie był) w Gdańsku. Emocje pobudzane u niektórych – na szczęście rzadko zdarzających się – osób poprzez to, co mówi i pisze się o politykach i polityce mogą pobudzać takie osoby do dokonywania zbrodni. Przykładem takiej osoby może być chociażby niejaki Ryszard Cyba, którego do dokonania zabójstwa oraz próby zabójstwa w biurze poselskim PiS w Łodzi 19 października 2010 r. zmotywowało przekonanie o tym, że prezydent RP Lech Kaczyński spowodował katastrofę lotniczą w Smoleńsku poprzez to, że obawiając się spóźnienia na uroczystości ku czci zamordowanych w Katyniu zmusił załogę rządowego samolotu TU 154 M do lądowania w gęstej mgłę, na słabo wyposażonym w przyrządy nawigacyjne lotnisku Smoleńsk – Siewiernyj, skutkiem czego było rozbicie maszyny i śmierć wszystkich 96 lecących nią osób. O tym, że prezydent Kaczyński doprowadził do katastrofy smoleńskiej Ryszard Cyba mógł tylko albo gdzieś usłyszeć lub przeczytać, bądź wywnioskować z tego, co zostało gdzieś powiedziane lub napisane. Ponadto, jak wynikało z pisemnego oświadczenia Cyby odczytanego podczas jego procesu w sądzie okręgowym w Łodzi (został skazany na dożywocie) podłożem jego zbrodni oprócz wzburzenia tragicznym w skutkach czynem prezydenta Kaczyńskiego było jego zbulwersowanie sytuacją polityczno – gospodarczą w Polsce, zaś celem jego działania miało być obudzenie społeczeństwa, tak, by rozliczyło ono polityków nierealizujących zadań do których zostali wybrani. Odnośnie takiego podłoża zbrodni popełnionej przez Ryszarda Cybę chciałbym zauważyć, że ogólna sytuacja polityczno – gospodarcza w kraju (nawiasem mówiąc, chyba nie tak bardzo zła w czasie, gdy Cyba zamordował asystenta europosła PiS Janusza Wojciechowskiego Marka Rosiaka i próbował zabić Pawła Kowalskiego, będącego asystentem posła PiS Jarosława Jagiełły – nie był to przecież jakiś okres masowych braków w zaopatrzeniu, galopującej inflacji, częstych przerw w dostawach prądu czy wody, albo powszechnych strajków czy zamieszek) nie jest czymś, co człowiek może sam, bez niczyjego pośrednictwa widzieć na własne oczy, czy odczuwać na swojej skórze. Przecież nikt nie może bezpośrednio widzieć takich rzeczy, jak np. poziom bezrobocia, wielkość długu publicznego, stopień skorumpowania urzędników, natężenie przestępczości, poziom bezpieczeństwa państwa, rozmiary nierówności społecznych, zakres ubóstwa, czy relacje zagraniczne kraju na własne oczy – z tej prostej przyczyny, że nikt nie ma i nie może mieć oczu wszędzie. O takich rzeczach, które u niektórych ludzi mogą wywołać zbulwersowanie – w skrajnych przypadkach, jak pokazuje to *casus* Ryszarda Cyby mogące prowadzić do popełnienia zbrodni – człowiek może się dowiedzieć praktycznie tylko stąd, że gdzieś o nich usłyszał lub przeczytał lub na podstawie choćby nawet fragmentarycznych tylko przekazów o takich sprawach wyciągnął jakieś bardziej ogólne wnioski na ich temat. Lecz przecież w każdym demokratycznym kraju mówienie i pisanie o wszystkich takich rzeczach jest rzeczą najzupełniej normalną i prawnie niezakazaną. Należałoby zakazać mówienia i pisania o tego rodzaju sprawach, jeśli mogą z tego wynikać jakieś negatywne wnioski, z tego powodu, że może się zdarzyć tak, że emocje wywołane przekonaniem, że w kraju dzieje się źle, a szczególnie, że za to zło odpowiadają rządzący popchną kogoś do dokonania zbrodni? Gdyby konsekwentnie zastosować logikę zaprezentowaną w zdaniu odrębnym sędziego Wojtyszka w sprawie Rabczewska przeciwko Polsce, zgodnie z którą pewne wypowiedzi, na zdrowy rozum nie stwarzające żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa dla czyjegoś życia, zdrowia,

wolności lub własności mogą być prawnie zabronione i karane z tego powodu, że stanowią one pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw, to odpowiedź na to pytanie powinna brzmieć tak – lub przynajmniej należałoby w tej kwestii postawić pytanie: a dlaczego nie? – skoro zdaniem sędziego Wojtyszka Dorota Rabczewska słusznie została skazana w Polsce za swą wypowiedź o Biblii, mimo, że jej wypowiedź nie przyczyniła się do żadnego przestępstwa (przynajmniej ja o niczym takim nie wiem), a szanse na to, by mogła się do czegoś takiego przyczynić, były znikome – jeśli w ogóle jakiegokolwiek. W każdym demokratycznym kraju czymś zupełnie normalnym są też wezwania do rozliczenia polityków – w znaczeniu rozliczenia ich podczas wyborów. Czy należałoby zabronić tego rodzaju wezwań z takiego powodu, że może się zdarzyć tak, że ktoś, tak jak Ryszard Cyba, postanowi rozliczyć polityków nie za pomocą kartki wyborczej, lecz noża i pistoletu? Gdyby konsekwentnie iść drogą logiki zaprezentowanej w krytykowanej tu opinii sędziego Wojtyszka, to na to pytanie najprawdopodobniej trzeba byłoby odpowiedzieć: tak.

Jak zatem widać, logika implikowana przez stwierdzenie sędziego Wojtyszka, że mowa religio-fobiczna - taka, jak wypowiedź Doroty Rabczewskiej, że *Cieężko wierzyć w coś, co spisał po prostu jakiś tam napruty winem i palący niewiadomo jakie zioła* i że bardziej, niż w Biblię wierzy ona w dinozaury - stanowi pośrednie podżeganie do poważniejszych przestępstw przeciwko grupom wyznaniowym lub ich członkom jest logiką potencjalnie totalitarną. Konsekwentne zastosowanie tej logiki, wobec wszelkich rodzajów ekspresji, odnośnie których dałoby się ją zastosować (można byłoby tu z pewnością wskazać wiele innych, niż tu wspomniane – wszak zdarza się czasem, że informacje o prawdziwym czy fikcyjnym przestępstwie natchną kogoś do popełnienia mniej lub bardziej doskonałej zbrodni, stwierdzone też zostało, że pedofile – niekiedy bardziej, niż jakiegokolwiek pornografią dziecięcą – podniecają się oglądając hollywoodzkie filmy z dziecięcymi aktorami, zdjęcia nawet całkowicie ubranych dzieci i katalogi bielizny dziecięcej, co przecież może prowadzić do seksualnego wykorzystywania dzieci przez takie osoby (4) – zaś nie kto inny, jak niektóre autorki feministyczne pisały o tym, że działalność osób i organizacji działających na rzecz praw kobiet wywołuje u niektórych mężczyzn emocje pobudzające ich do popełniania przestępstw przeciwko kobietom (5)) musiałoby prowadzić do niesłychanie szerokiego zakresu kryminalizacji – czy też po prostu cenzury – wypowiedzi. (6) Choć oczywiście, trzeba to podkreślić, przyjęcie tego rodzaju rozumowania, jak to przyjęte przez sędziego Wojtyszka w sprawie Dody przez ustawodawców, czy też (np.) sędziów nie musi w praktyce prowadzić do jakichś wyjątkowo daleko posuniętych ograniczeń wolności słowa. Jest tak z tego prostego powodu, że takiego rozumowania praktycznie nikt nie jest gotów zastosować w sposób w pełni konsekwentny – jest ono zawsze stosowane wybiórczo. Jednak o ile takie podejście do kwestii granic swobody wypowiedzi nie musi prowadzić do po prostu likwidacji wolności słowa – ta w końcu w Europie, gdzie istnieją chociażby zakazy mowy nienawiści, które chyba trudno jest próbować uzasadnić lepiej, niż przy użyciu argumentu, że *hate speech* może pośrednio prowadzić do *hate crimes*, jest przecież całkiem duża – to w istocie rzeczy łatwo może ono prowadzić do praktycznej likwidacji prawa do swobodnego wypowiadania się jako obywatelskiego i ludzkiego uprawnienia, w którego realizację władze nie mogą ingerować poza szczególnymi, wyjątkowymi sytuacjami. W każdym razie, granica, poza którą zakazy wypowiedzi nie mogą się posunąć przy takim podejściu w gruncie rzeczy

przestaje istnieć – a już co najmniej jest niezwykle trudno dostrzegalna. Jak trafnie bowiem wyraził się niegdyś sędzia Sądu Najwyższego USA Oliver Wendell Holmes „*każda idea jest podżeganiem*”. (7)

Nawiasem mówiąc, zdanie odrębne sędziego Wojtyszka w sprawie *Rabczewska v. Poland* całkiem dobrze pokazuje, jak takie podejście do kwestii granic wolności słowa, jak to, o którym jest tu mowa – a które amerykańscy prawnicy określają często mianem doktryny złej (czy też niebezpiecznej, albo szkodliwej) tendencji (*bad tendency doctrine*) – jest potencjalnie niebezpieczne dla swobody wypowiedzi. Zauważmy bowiem, że w sprawie Dody chodziło o wypowiedź dość – przyznamy to chyba – niewinną. Oczywiście jest, że Dorota Rabczewska nie nawoływała do popełnienia żadnego przestępstwa, żadnego przestępstwa też nie pochwałała i nie usprawiedliwiała. Jej wypowiedzi nie można było w sensowny sposób uznać za „mowę nienawiści”. To, co można było o niej powiedzieć, to to, że odnosiła się ona ironicznym, zdystansowanym i może nawet lekceważącym tonem do czegoś, co stanowi przedmiot kultu religijnego niektórych osób – co swoją drogą nie jest w sposób oczywisty równoznaczne ze znieważeniem takiego przedmiotu, które oprócz faktu obrazy uczuć religijnych jest niezbędnym elementem przestępstwa z art. 196 k.k. – przypadek Dody pokazuje zatem, jak art. 196 k.k. jest nieostry i potencjalnie szeroki. Wypowiedź Doroty Rabczewskiej nie miała też negatywnych konsekwencji w postaci np. jakichś ataków na miejsca kultu religijnego czy osoby duchowne, zakłócania nabożeństw itd., nie sposób byłoby też poważnie twierdzić, że Rabczewska, stwierdzając, że historie biblijne spisali ludzie napruci winem i palący jakieś zioła miała ukryty, niewyrażony wprost zamiar spowodowania takich konsekwencji. A jednak sędzia Wojtyszek uznał, że skazanie Dody za jej wypowiedź było słuszne, z tego m.in. powodu, że religiofobiczne wypowiedzi stanowią pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw – takich np. jak wspomniane powyżej. Biorąc pod uwagę, że wypowiedź Doroty Rabczewskiej ani nie zachęcała do popełniania żadnych przestępstw, ani też żadnych faktycznie popełnionych przestępstw nie można było z tą wypowiedzią wiązać (w takim np. sensie, że ktoś poczułby się zainspirowany przez jej wypowiedź do popełnienia jakiegoś przestępstwa) jedyny sens twierdzenia, że wypowiedź, o której jest tu mowa stanowiła pośrednie podżeganie do działań przestępczych może polegać na tym, że wypowiedzi tego rodzaju mogą przyczynić się do zrodzenia u niektórych osób przekonań, które w przypadku niektórych z tych niektórych osób mogą zwiększyć prawdopodobieństwo tego, że osoby te posuną się do popełnienia jakichś przestępstw. No cóż, prawdopodobieństwo tego, że czynu takiego, jak zdemolowanie kościoła czy pobicie księdza dokona ktoś przekonany do opinii, że Biblię spisali ludzie napruci winem i palący niewiadomo jakie zioła jest zapewne większe, niż prawdopodobieństwo tego, że taki czyn popełni ktoś odnoszący się do Pisma Świętego i generalnie rzecz biorąc spraw wiary z najwyższym szacunkiem. Tyle tylko, że mnóstwa wypowiedzi można byłoby zakazać w oparciu o podobnego rodzaju argumentację, przy czym często argumenty na rzecz zakazu takich wypowiedzi byłyby dużo silniejsze, niż argumenty na rzecz zakazu takich wypowiedzi, jak wspomniana tu wypowiedź Dody.

Jako ktoś, kto szereg razy krytykował zakazy mowy nienawiści chciałbym też w kontekście opinii sędziego Wojtyszka w sprawie *Rabczewska v. Poland* zauważyć jeszcze jedną rzecz. Chodzi mi mianowicie o to, że zwolennicy prawnych zakazów *hate speech* często

sprzeciwiają się karaniu za wypowiedzi bluźniercze czy obrażające uczucia religijne takich lub innych grup osób. Można oczywiście twierdzić, że jedne wypowiedzi są czymś różnym od drugih. *Mowa nienawiści* bezpośrednio atakuje rzeczywistych, realnie istniejących, żyjących ludzi (choć z reguły nie jako konkretne, wymienione z imienia i nazwiska jednostki, lecz raczej jako całe grupy). Wypowiedzi, które można uznać za przestępstwo z art. 196 k.k. atakują przedmioty czci religijnej – czy to w sensie przedmiotów materialnych, takich, jak np. krzyż, hostia lub monstrancja, czy też w sensie obiektów kultu – takich, jak Bóg, Jezus, Maryja, święci – a biorąc pod uwagę, że art. 196 nie zabrania obrażania uczuć religijnych wyłącznie chrześcijan – także takich, jak np. Budda, czy prorok Mahomet. Wspomniany przepis zabrania więc atakowania – w sensie znieważania, a więc obraźliwego traktowania choćby w wyłącznie werbalny sposób – bytów, w które duża część ludzi (łącznie ze mną – myślę, że Bóg istnieje) wierzy i darzy je kultem, ale które dla części ludzi są tylko wymysłami – i tak samo zabrania on znieważania materialnych przedmiotów czci religijnej – np. krzyży, czy obrazów Jezusa lub Matki Boskiej, które też nie są przecież – w zwykłym przynajmniej tego słowa pojęciu – ludźmi. Jednak jakiegokolwiek różnice nie istniałyby między wypowiedziami atakującymi religię, czy jakieś jej elementy, a mową nienawiści opinia sędziego Wojtyszka w sprawie *Rabczewska v. Poland* dobitnie pokazuje, że karalność wypowiedzi nawet – tak to można powiedzieć – lekko znieważających obiekty kultu religijnego – Doda przecież nie odniosła się do Biblii przy użyciu słów powszechnie uważanych za obraźliwe może być uzasadniana przy użyciu dokładnie tych samych argumentów, przy użyciu których często uzasadnia się zakazy mowy nienawiści. A ponieważ argumenty te opierają się nie na dowodach, dotyczących bezpośrednich skutków konkretnych wypowiedzi, lecz w najlepszym przypadku na twierdzeniach natury ogólnej – tego np. rodzaju, że skoro nienawiść o podłożu rasistowskim, antysemickim, ksenofobicznym, homofobicznym itd. staje się czasem podłożem przemocy, to trzeba zakazać wypowiedzi podżegających do takiej nienawiści – to nie można powiedzieć, że argument o pośrednim podżeganiu, jakim sędzia Wojtyszek posłużył się w obronie zakazu wypowiedzi antyreligijnych w sposób ogólny i w obronie skazania Dody za tego rodzaju wypowiedź w szczególności był w sposób konieczny gorszym uzasadnieniem zakazów tego rodzaju wypowiedzi, niż ten sam argument użyty w obronie zakazów (np.) hate speech. Oczywiście, mnie ten argument nie przekonuje jako uzasadnienie jakiegokolwiek zakazów wypowiedzi. Tyle tylko, że praktyczne znaczenie mojego zdania na temat tego, jakie wypowiedzi i z jakich powodów w uzasadniony sposób mogą, a jakie nie mogą być prawnie tępiące jest – zdaję sobie doskonale z tego sprawę – żadne. Cieszyć się można z tego, że większość sędziów ETPC w sprawie Dody nie poszła drogą rozumowania zaprezentowanego przez sędziego Wojtyszka. Choć przecież opinia tej większości, zdaniem której Polska skazując Dodę za jej wypowiedź naruszyła art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka też nie była jakaś przesadnie liberalna – w takim np. sensie, by wynikał z niej jakiś bardzo szeroki zakres wolności antyreligijnych wypowiedzi – raczej, w dużej mierze opierała się ona na fakcie, że wypowiedź Dody była swego rodzaju chlapnięciem i padła z ust osoby, która generalnie rzecz biorąc nie wypowiada się o religii.

Czy zakazów antyreligijnych, bądź jeszcze innych wypowiedzi – np. mowy nienawiści – można w przekonujący sposób bronić przy użyciu zawartego w opinii sędziego Wojtyszka

argumentu, że wypowiedzi takie negatywnie wpływają na godność, poczucie tożsamości oraz poczucie własnej wartości i pewności siebie członków takich lub innych grup (w przypadku wypowiedzi Dody takich grup, jak wyznawcy chrześcijaństwa i judaizmu)? No cóż, na mnie, jako na – było nie było – wyznawcę pierwszej z tych religii wypowiedzi Dody takiego wpływu absolutnie nie miały – i nie przypuszczam, by jakieś wypowiedzi typu bluźnierstw czy mowy nienawiści mogłyby mieć na mnie tego rodzaju wpływ – co najwyżej mógłbym odebrać jakieś wypowiedzi jako np. niesmaczne. Ale oczywiście ludzie miewają bardzo różną wrażliwość – także na to, jak inni odnoszą się do grup narodowych, rasowych, wyznaniowych czy jeszcze innych, do których ludzie ci należą, czy też do wierzeń i obiektów kultu tych osób. Nie jest więc wykluczone, że pod wpływem czy to mowy nienawiści, czy wypowiedzi znieważających obiekty kultu religijnego niektórzy ludzie mogą poczuć się źle – w takim sensie, że ich osobiste poczucie własnej wartości, pewności siebie, tożsamości i godności zostanie w mniejszym lub większym stopniu podkopane.

Lecz problem z tego rodzaju argumentem jest mniej więcej taki sam, jak problem z argumentem, że pewne wypowiedzi mogą być zasadnie zakazane z tego powodu, że stanowią one pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw. Z całą pewnością, poczucie własnej wartości, pewności, godności i wreszcie tożsamości jest dla każdego człowieka czymś ważnym – jest ono warunkiem dobrostanu psychicznego. Lecz przecież wypowiedzi, które mogą u niektórych ludzi podważać ów dobrostan zdarza się mnóstwo. Jeśli do kogoś silnie przekonanego, że ma on w jakiejś sprawie świętą rację dotrze wypowiedź, z której wynika, że jego przekonanie jest błędne, to niewątpliwie może on cokolwiek stracić pewność siebie; podkopane może zostać nawet poczucie jego własnej wartości, jeśli przekonanie podważone przez jakąś wypowiedź było dla niego czymś szczególnie ważnym, stanowiącym istotny element jego wewnętrznej tożsamości. No, ale czy ktoś proponuje to, by konsekwentnie zakazać wszelkich wypowiedzi, które na pewne osoby mogą mieć tego rodzaju wpływ? Jeśli ktoś w sposób poważny chciałby chronić ludzi przed tego typu dolegliwością, którą mogą powodować u nich słowa to powinien być np. za zakazem wyśmiewania się z twierdzeń o płaskości Ziemi. Nie ulega bowiem wątpliwości, że u niektórych ludzi przekonanych do twierdzenia, że Ziemia jest płaska wypowiedź, z której wynika to, że twierdzenie takie jest absurdalne może spowodować utratę pewności co do słuszności własnych przekonań i nawet podkopać poczucie własnej wartości i godności, szczególnie, jeśli wiara w prawdziwość takiego twierdzenia stanowi część psychicznej tożsamości danej osoby. Powinien być też za zakazem wypowiedzi krytykujących np. rasizm, antysemityzm, czy poglądy o charakterze nazistowskim (albo – powiedzmy – ortodoksyjnie komunistycznym) gdyż u niektórych ludzi szczerze wyznających wspomnianego rodzaju opinie wypowiedzi, z których wynika to, że opinie te są głupie, podłe, niegodziwe i odrzucane przez przyzwoitych ludzi mogą prowadzić do podważenia poczucia własnej wartości i godności. Powinien być też za (np.) zakazem wypowiedzi dowodzących, że 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku nie doszło do żadnego zamachu terrorystycznego, lecz po prostu wydarzyła się tam katastrofa lotnicza. Czy głośny reportaż Piotra Świerczka „Siła kłamstwa” wyemitowany niedawno przez telewizję TVN24 nie podkopał przypadkiem dobrego samopoczucia przynajmniej niektórych wyznawców „religii smoleńskiej”?

Jak zatem widać, argument, że pewne wypowiedzi mogą negatywnie wpływać na godność, poczucie tożsamości, własnej wartości i pewności siebie takich czy innych ludzi jest, jako przesłanka prawnego zakazu wypowiedzi po prostu niedorzeczny, gdyż konsekwentne zakazywanie wypowiedzi z tego powodu, że mogą mieć one tego rodzaju efekty musiałoby prowadzić do stworzenia absurdalnie daleko posuniętego systemu cenzury.

Choć, z pewnym twierdzeniem zawartym w swojej opinii sędziego Wojtyszek mógł mieć – w moim odczuciu – trochę racji. Chodzi tu mianowicie o jego zdanie, że *„Nieuzasadnione zniewagi skierowane przeciwko sferze sacrum są formą agresji słownej wobec wierzących, która zwykle jest przez nich odczuwana jako o wiele bardziej obraźliwa i bolesna niż zniewaga wymierzona bezpośrednio w członków jakiejś grupy religijnej”*. Pomijając problem tego, czy wypowiedź znieważająca przedmiot kultu religijnego jakiejś grupy wyznaniowej jest formą słownej agresji wobec samych członków tej grupy (jest to, jak sądzę, problem nierozwiązywalny: np. ludzie publikujący karykatury proroka Mahometa – takie, jak choćby ta ukazująca go z bombą na głowie zamiast turbanu – mogą, jak myślę, zupełnie szczerze twierdzić, że nie mają oni nic przeciwko muzułmanom jako takim, a jedynie chcą zaprotestować przeciwko wykorzystywaniu islamu w roli uzasadniania terroryzmu, z kolei niektórzy muzułmanie mogą też zupełnie szczerze odbierać takie publikacje jako ataki wprost na nich) fakty tego rodzaju, jak choćby to, że muzułmanie urządzali niezwykle niekiedy gwałtowne protesty przeciwko czy to karykaturom Mahometa, czy paleniu Koranu, czy też filmowi „Niewinność muzułmanów” – nie urządzali oni natomiast takich protestów przeciwko wypowiedziom bezpośrednio znieważającym muzułmanów jako pewnego rodzaju grupę ludności czy nawołującym do nienawiści wobec muzułmanów pokazując, że twierdzenie to może – przynajmniej czasem – być prawdziwe.

To, swoją drogą jest całkiem trafny przytyk w stronę tych, którzy uważają, że prawo powinno zabraniać mowy nienawiści, lecz jednocześnie powinno tolerować religijne bluźnierstwa – bądź co bądź, argument, że mowa nienawiści wyrządza krzywdę psychiczną osobom należącym do grup, do których mowa taka się odnosi jest często używany jako uzasadnienie twierdzenia, że *hate speech* powinna być uznana za przestępstwo.

Czy jest to jednak argument, przy użyciu którego można w przekonujący sposób uzasadnić zakazy wypowiedzi znieważających obiekty kultu religijnego takich lub innych grup osób i obrażających uczucia religijne przynajmniej niektórych członków takich grup? Otóż myślę, że z uznaniem tego, że tak jest związane są nader poważne problemy. Zaczniemy tu od nieporuszonego wprost – w jakiś bardzo wyraźny sposób – przez sędziego Wojtyszkę, ale wspomnianego przeze mnie argumentu, że niektóre wypowiedzi znieważające obiekty czci religijnej pewnych grup osób, mogą, wywołując oburzenie i wściekłość niektórych członków takich grup, prowadzić do zamieszek czy aktów terroru. Ciągi zdarzeń, które nastąpiły po publikacji karykatur Mahometa na łamach duńskiego dziennika „Jyllands Posten”, czy też po spaleniu Koranu przez amerykańskiego pastora Terryego Jonesa oraz po wyświetleniu filmu „Niewinność muzułmanów” pokazują, że twierdzenie, iż wypowiedzi o bluźnierczym charakterze mogą mieć tragiczne następstwa co najmniej nie jest w prosty sposób nieprawdziwe. Zauważmy przy okazji, że obiektywne związki między takimi czy innymi aktami ekspresji, a przemocą były we wspomnianych i powszechnie zresztą znanych (przynajmniej w sposób ogólny) przypadkach znacznie bliższe i bardziej wyraźne, niż w

przypadku mowy nienawiści (przynajmniej takiej, która nie polega na bezpośrednim nawoływaniu do dokonania aktów przemocy w okolicznościach, w których istnieje jasne i bezpośrednie niebezpieczeństwo wywołania takich aktów), gdzie związek między słowami, a czynami może polegać na tym, że pewne wypowiedzi mogą przyczyniać się do kształtowania u niektórych osób przekonań i pobudzania emocji, w następstwie których jakaś część takich ludzi może coś złego zrobić. Związek ten – w przypadku hate speech – jest zresztą mocno hipotetyczny – jak już wcześniej wspomniałem, podobne, jeśli nie o wiele nawet silniejsze efekty, jak mowa nienawiści, jeśli chodzi o przyczynianie się do przemocy – także tej o charakterze rasistowskim, czy ksenofobicznym – miały wypowiedzi nie uznawane za taką mowę i gdzie ponadto – znów poza rzadko zdarzającymi się przypadkami bezpośrednio niebezpiecznego podburzania do przemocy – najczęściej nie da się ustalić żadnych konkretnych związków między konkretnymi słowami, czy wyrażeniami, a konkretnymi zachowaniami, w tym sensie, by zachowania te były reakcją na konkretne akty ekspresji.

Zdarzenia, do których doszło po wspomnianych tu publikacji karykatur Mahometa w duńskiej gazecie „Jyllands-Posten”, a także po spaleniu Koranu przez pastora Terryego Jonesa i wyświetleniu filmu „Niewinność Muzułmanów” – i które, jak chyba wiemy, miały tragiczne skutki – bez wątpienia były reakcją niektórych muzułmanów na akty ekspresji, które odebrali oni jako ataki na rzeczy dla nich święte. Czy jednak fakt, że niektóre wypowiedzi odbierane przez niektórych członków pewnych grup religijnych jako bluźniercze mogą prowadzić do takich następstw, jak te, które były efektem np. publikacji karykatur Mahometa jest dobrym powodem do tego, by zabraniać takich wypowiedzi pod groźbą kary grzywny, ograniczenia wolności, czy też więzienia? Jeśli ktoś uważa, że tak, to proponuję mu, by zauważył, że naprawdę straszne rzeczy, jakie zdarzyły się w następstwie np. publikacji karykatur Mahometa w dzienniku Jyllands-Posten zdarzyły się nie tam, gdzie dziennik ten się ukazuje, tj. w Danii, lecz w miejscach odległych od Danii o tysiące kilometrów, tzn. w krajach zamieszkałych głównie przez muzułmanów. Jest chyba oczywiste, że muzułmanie, którzy protestując przeciwko rzeczonym karykaturom dokonywali aktów przemocy nie posunęli się do takich czynów wskutek tego, że przeczytali oni wspomnianą gazetę. Do wspomnianych aktów przemocy mogło dojść tylko dlatego, że wiedza o karykaturach proroka islamu dotarła do nich za pośrednictwem mediów mających szerszy zasięg, niż „Jyllands Posten”. Analogicznie, muzułmanie w krajach islamskich nie mogli bezpośrednio zaobserwować palenia Koranu przez Terryego Jonesa i nie mogli widzieć filmu „Niewinność muzułmanów”, gdy film ten został wyświetlony w jednym z kin w Los Angeles. Jeśli więc ktoś w sposób poważny chciałby przy użyciu zakazów wypowiedzi zapobiegać przemocy, która może być następstwem niektórych wypowiedzi obrażających uczucia religijne pewnych grup osób – np. muzułmanów (a szczególnie już islamskich fanatyków i ekstremistów) - to powinien opowiadać się nie tylko za zakazem takich wypowiedzi, ale także – i może nawet jeszcze bardziej – za zakazem szerzenia *wiedzy o takich wypowiedziach*, szczególnie, jeśli wiedza ta ma szansę dotrzeć tam, gdzie jej następstwa mogą się okazać tragiczne. Inaczej mówiąc, ktoś taki powinien być nie tylko za zakazem publikowania karykatur Mahometa, czy palenia Koranu (co możliwe, że dałoby się podciągnąć pod nasz artykuł 196 k.k.), ale także pisania o czym takim (a szczególnie już pisania w językach znanych przez większą liczbę ludzi, niż duński czy polski – nie mówiąc już o pisaniu po arabsku) i to nawet w potępieńczy sposób.

Nie zetknąłem się jednak nigdy z informacją, by ktoś proponował tego rodzaju zakaz wypowiedzi.

Warto też zauważyć, że akceptacja argumentu, że pewne wypowiedzi obrażające uczucia religijne powinny być prawnie zabronione z tego powodu, że następstwem tych wypowiedzi mogą być akty przemocy dokonywane przez niektóre osoby rozgniewane takimi wypowiedziami może prowadzić do stworzenia swego rodzaju mechanizmu śliskiej pochyłości (czy jak kto woli, mechanizmu równi pochyłej). Przecież nie jest tak, by np. muzułmańscy ekstremiści – którzy są naprawdę groźni – mogli mordować ludzi i podkładać bomby wyłącznie w następstwie tych wypowiedzi, które można byłoby uznać za znieważenie przedmiotu czci religijnej, czy też - jak proponuje to partia „Solidarna Polska” Zbigniewa Ziobry – za lżenie lub wyszydzanie związku wyznaniowego, bądź jego dogmatów lub obrzędów. Jak doskonale wiadomo, robili oni takie rzeczy np. z powodu „Szatańskich Wersetów” Salmana Rushdiego. Owe „szatańskie wersety” – będące, jak można przeczytać w wikipedii terminem ukutym przez Williama Muira – odnosiły się do trzech czczonych pod Kaabą w Mekce przedislamskich bogiń – Al-Lat, Al-Uzza i Al-Manat, które, jak pisał arabski historiograf i teolog pochodzenia perskiego At-Tabari (838 – 923) Mahomet pozwolił czcić miejscowej ludności jako swego rodzaju bóstwa niższego rzędu, niż Allah i o których według At- Tabariego była mowa w pierwotnej wersji 53 sury Koranu al-Nadschm („Gwiazda”), podczas gdy w kanonicznej wersji Koranu nie ma o nich żadnej wzmianki. Problem ze wzmianką o tych boginiach – autorem której to wzmianki według narratora w „Szatańskich Wersetach” miał być Archanioł Gabriel – polegał na tym, że godziła ona w jedną z podstawowych zasad islamu, jaką jest ścisły monoteizm. Tyle tylko, że pisanie takich rzeczy, jak te, o których pisał Rushdi w swej najgłośniejszej książce nie jest czymś, co w uczciwy sposób dałoby się uznać za znieważenie przedmiotu czci religijnej, czy też za lżenie lub wyszydzanie związku wyznaniowego, bądź jego dogmatów lub obrzędów. Można by to było porównać do – tak sądzę – pisania (czy mówienia) np. o tym, że Maryja nie została niepokalanie poczęta, albo, że miała też inne dzieci, niż Jezus – bądź, że nie była zawsze dziewicą – czy też że Jezus nie zmartwychwstał, albo nie był Synem Bożym, czy też w ogóle nie istniał – albo, że nie ma Boga – mówienie czy też pisanie takich rzeczy, jakkolwiek z pewnością oburzające dla niektórych chrześcijan - nie jest czymś, co można byłoby uznać za przestępstwo z art. 196 k.k. – czy to w jego obecnej wersji, czy w wersji proponowanej przez partię Zbigniewa Ziobry. Swoją drogą, takie nie stanowiące przestępstwa w myśl obecnie obowiązującego w Polsce (czy nawet wspomnianego powyżej, które jest póki co dopiero propozycją, nie mającą raczej wielkich szans podniesienie do „godności” ustawy) prawa wypowiedzi też czasem prowokowały akty przemocy ze strony np. chrześcijańskich fundamentalistów. Weźmy tu np. głośny swego czasu film „Ostatnie Kuszenie Chrystusa” (oparty na powieści pod tym samym tytułem). W filmie tym pokazane jest, że Jezus, choć wolny od grzechu, to jednak musiał walczyć z pokusami, zwątpieniem, strachem, depresją, niechęcią i pożądaniem, w tym także – o zgrozo – o charakterze seksualnym. Treść tego filmu z pewnością jest czymś mocno kontrowersyjnym dla ortodoksyjnych chrześcijan, lecz nie sądzę, by dało się ją podciągnąć pod art. 196 k.k. A jednak, chrześcijańscy fundamentaliści oburzeni treścią „Ostatniego Kuszenia Chrystusa” podpalili we Francji co najmniej trzy kina, w których wyświetlany był ten film. Więc co, czy może z tego powodu, że fundamentaliści

takiej czy innej religii w następstwie obrazy uczuć, wywołanej podważaniem prawd ich wiary mogą posunąć się do dokonania takich czy innych aktów przemocy powinno się wprowadzić jakieś prawo szersze od obecnego art. 196 k.k. i nawet od tego, co zaproponowała niedawno partia Ziobry? Lecz jak szerokie musiałyby być prawo, by mogło ono zapobiegać wszelkim możliwym aktom przemocy, do których może czasem prowadzić obraza uczuć religijnych? Otóż sądzę, że musiałyby to być prawo zabraniające negowania, krytykowania czy podważania – choćby tylko pośrednio – twierdzeń każdej religii (też oczywiście pod warunkiem, że prawo to byłoby ściśle przestrzegane – a przecież nigdy tak się nie dzieje). Lecz... takie prawo w istocie rzeczy zabraniałoby każdej religii – a przynajmniej publicznej, potencjalnie otwartej dla osób nie wyznających danej religii – publicznej ekspresji religii. Bo przecież np. podstawowe twierdzenie chrześcijaństwa, że Bóg jest jeden, ale są trzy Osoby Boskie – Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty - jest jaskrawym zaprzeczeniem podstawowego twierdzenia islamu (a także judaizmu), że Bóg jest ściśle i dokładnie jeden i że oczywiście nie ma on żadnego syna (ta ostatnia rzecz jest wyraźnie napisana w Koranie). Z kolei twierdzenia np. buddyzmu czy hinduizmu zaprzeczają twierdzeniom chrześcijaństwa, judaizmu i islamu – i *vice versa* – i rzecz jasna sobie nawzajem. Na szczęście, nikt chyba jeszcze nie wpadł na pomysł stworzenia takiego prawa w celu zapobiegania ewentualnym aktom przemocy, które mogą czasem wynikać z obrażenia czyichś uczuć religijnych, czy też przekonania do religijnie motywowanych idei.

Wróćmy jednak do kwestii krzywdy czysto psychicznej – i nie wykraczającej poza taką (tzn. nie mającą skutków w postaci np. dokonania jakichś aktów przemocy ze strony osób, których uczucia religijne zostały obrażone) gdyż z opinii sędziego Wojtyszka w sprawie *Rabczewska v. Poland* zdaje się wynikać, że fakt, iż antyreligijne wypowiedzi mogą ludziom będącym wyznawcami takich czy innych religii wyrządzać tego rodzaju krzywdę jest (jego zdaniem) właściwym powodem do prawnego tępienia takich wypowiedzi.

Lecz odnośnie tego argumentu pojawia się takie samo pytanie, jak odnośnie tych argumentów na rzecz karalności pewnych rodzajów wypowiedzi (np. wypowiedzi obrażających uczucia religijne czy mowy nienawiści) o których była tu mowa już wcześniej. Czy na podstawie argumentu, że ludzie powinni być chronieni przed emocjonalną dolegliwością, którą u jakiejś części z nich mogą powodować wypowiedzi znieważające obiekty kultu religijnego – bądź też ewentualnie także wypowiedzi znieważające wyznania jako takie, cz też dogmaty, bądź obrzędy tych wyznań – można byłoby uzasadnić tylko przepisy tego mniej więcej rodzaju, jak art. 196 polskiego k.k. – czy też konsekwentne zastosowanie tego wniosku musiałyby prowadzić do wniosku o potrzebie istnienia jakichś absurdalnie daleko idących ograniczeń wolności słowa?

Właściwa jest moim zdaniem ta druga odpowiedź. Jakkolwiek wypowiedzi znieważające przedmioty czci religijnej mogą sprawiać przykrość ludziom wierzącym – mogą ich czasem wręcz szokować i powodować emocjonalny ból – to podobne efekty mogą mieć wypowiedzi, o których trudno byłoby powiedzieć, że są one jakimiś zniewagami pod adresem obiektów kultu takich czy innych ludzi. O niektórych takich wypowiedziach była już tu mowa, można też wskazać inne, możliwe przykłady takich wypowiedzi. Wyobraźmy sobie w tym kontekście poważny, naukowy (i pozbawiony oczywiście jakichś obraźliwych wyrażen) tekst, którego autor przekonująco dowodzi, że takie czy inne historie opisywane w Biblii w

rzeczywistości nie mogły się zdarzyć. Przypuśćmy dalej, że na taki tekst trafia osoba, która głęboko wierzyła w prawdziwość treści biblijnych i której religijność w zasadniczej opierała się na takich wierzeniach. Czy lektura takiego tekstu nie mogłaby negatywnie wpłynąć na poczucie tożsamości, pewności siebie, własnej wartości i godności takiej osoby? Otóż sądzę, że mogłaby wpłynąć w znacznie większym stopniu, niż jakaś wypowiedź po prostu znieważająca taki czy inny przedmiot czci religijnej, którą łatwo można byłoby uznać za obelgę (i co za tym idzie, za przestępstwo z art. 196 k.k.), lecz która nie podkopywałaby w sposób poważny wiary, będącej istotną częścią psychicznej tożsamości niektórych osób. Podobnie, lektura np. tekstu w przekonujący sposób dowodzącego, że wszelkie zjawiska towarzyszące tzw. śmierci klinicznej można doskonale wyjaśnić na gruncie czysto medycznym – z dodanym, czy też nie dodanym wprost do tego wnioskiem, że nie ma żadnych podstaw do wiary w życie pozagrobowe – na zdrowy rozum mogłaby być dla wielu osób czymś o wiele bardziej emocjonalnie destrukcyjnym, niż jakakolwiek zniewaga świętości. Lecz publikacja takiego tekstu (czy taka wypowiedź na żywo) ani w Polsce, ani w żadnym europejskim kraju nie byłaby przestępstwem. (8)

I emocjonalną krzywdę – czasem poważną – mogą też u niektórych ludzi powodować wypowiedzi nie dotyczące w ogóle sfery religijnego *sacrum*, ani też nie będące (np.) mową nienawiści. Przypuszcza się np. że przyczyną samobójstwa amerykańskiego fizykochemika George’a Price’a (1922 – 1975) był szok wywołany lekturą artykułu brytyjskiego biologa ewolucyjnego W. D. Hamiltona „*The Evolution of Altruistic Behaviour*” – w wyniku której zrozumiał on, że głęboko wyznawane przez niego przekonania o naturalnej bezinteresowności ludzi były błędne. Z dość dawnych już w tej chwili czasów pamiętam opowiadkę o dziewczynie z istniejącego jeszcze wówczas ZSRR, która po tym, jak usłyszała o zbrodniach, za które odpowiedzialny był niewątpliwie czczony przez nią wcześniej Lenin, zwyczajnie się popłakała. Wypowiedzi, z którymi zetknęły się wspomniane powyżej osoby (choć tylko w pierwszym przypadku z tragicznym tego ostatecznie efektem – zgodzimy się chyba co do tego, że samobójstwo spowodowane podkopaniem czyichś przekonań lub obrazą takich czy innych uczuć w następstwie jakiejś wypowiedzi to zjawisko zdarzające się w najlepszym przypadku rzadko) niewątpliwie bardzo poważnie uderzyły w poczucie pewności siebie, tożsamości, wartości i godności osobistej tych osób. Wyrządziły im emocjonalną krzywdę – w przypadku pierwszej z tych osób taką, z której pokrzywdzony w następstwie lektury skutecznie podważającego jego przekonania tekstu nie był w stanie się otrząsnąć, w przypadku drugiej na tyle dotkliwą, że wybuchła ona płaczem. No, tylko tyle, czy ktoś chciałby tego, by wypowiedzi takie, jak te, o których była tu mowa traktowane były jako przestępstwo? To chyba jest pytanie czysto retoryczne. Oczywiście, trzeba to powiedzieć, ma sens prawna ochrona ludzi przed uporczywym, bezpośrednio wymierzonym w konkretne osoby (bądź ewentualnie w małe grupy osób – takie np., jak członkowie mieszkającej w jednym domu rodziny) werbalnym dręczeniem i prześladowaniem (z obojętnie jakich powodów), której *ratio legis* niewątpliwie opiera się na tym, że są to zachowania wyrządzające dotkniętym nimi ludziom emocjonalną krzywdę. Podobnie, mogłoby mieć sens prawo, które pozwalałoby na pociągnięcie do odpowiedzialności kogoś, kto wywołał poważny szok emocjonalny u innej osoby bezpośrednio prezentując tej osobie informację, o której wiedział on, że jest ona fałszywa i że spowoduje ona u niej taką reakcję (lub, że

przynajmniej miał rozsądne podstawy do spodziewania się tego, że taka reakcja u tej osoby nastąpi) – chodziłoby więc o np. świadomie kłamliwe poinformowanie kogoś, że bliska dla niego osoba właśnie zginęła w wypadku lub że wykryto u niego śmiertelną chorobę. Lecz jednak jeżeli z takiego powodu zakazuje się wypowiedzi należących do sfery komunikacji publicznej – których, dodajmy, zazwyczaj nikt nie musi wbrew swojej woli słuchać czy też czytać – to w tym przypadku wchodzi się na drogę bardzo niebezpieczną, potencjalnie mogącą prowadzić do praktycznej likwidacji wolności słowa. Bo jak wskazywałem tutaj powyżej, emocjonalną krzywdę – niekiedy nawet (choć sądzę, że w sumie rzadko) poważną – mogą powodować u niektórych ludzi wypowiedzi, które nie sposób byłoby uznać za przestępstwo – czy to obrazy uczuć religijnych, czy mowy nienawiści, czy jakieś jeszcze inne – np. takie, jak zniewaga, czy zniesławienie. Jeśli więc zakazuje się pewnych wypowiedzi z takiego powodu, że wypowiedzi te mogą negatywnie wpływać na poczucie godności, tożsamości, własnej wartości i pewności siebie niektórych osób, to co najmniej należałoby zadać pytanie, dlaczego nie zabronić innych, nie zakazanych póki co prawnie wypowiedzi, jeśli wypowiedzi te na zdrowy rozum mogą mieć – i czasem faktycznie miewają – takiego rodzaju efekty? (9)

Mniej więcej to samo, co można było powiedzieć o argumentie, że antyreligijne wypowiedzi (czy też np. mowa nienawiści – lub jeszcze inne typy ekspresji – np. pornografia związana z fikcyjnym prezentowaniem przemocy, tzw. pozorowana pornografia dziecięca, czy wypowiedzi nawet nawołujące do popełniania przestępstw, lecz nie stwarzające bezpośredniego i poważnego niebezpieczeństwa faktycznego spowodowania przestępczych działań) powinny być prawnie zakazane z takiego powodu, że stanowią one pośrednie podżeganie do czynów kryminalnych – i o argumentie, że powodem uzasadniającym zakaz takich wypowiedzi może być to, że wypowiedzi te mogą wyrządzać emocjonalną krzywdę niektórym ludziom słuchającym, czytającym czy widzącym takie wypowiedzi (wyobraźmy tu sobie takie akty ekspresji, jak np. spalenie Koranu, porwanie Biblii czy połamanie krzyża) – trzeba powiedzieć na temat zawartego w opinii sędziego Wojtyszka stwierdzenia, że wypowiedzi znieważające lub wyszydzające sferę *sacrum* są narzędziem promowania wykluczenia i rozwijania uprzedzeń społecznych wobec grup religijnych, których świętości są przez takie wypowiedzi atakowane. Stwierdzenie to – jako przesłanka zakazu antyreligijnych wypowiedzi – miałoby jeszcze jakiś sens, gdyby naprawdę było tak, że religiofobiczne wypowiedzi faktycznie mają efekt tego rodzaju, że status społeczny członków pewnych grup religijnych jest wskutek tych wypowiedzi mniej więcej taki, jak status indyjskich pariasów – i (co z tego jeszcze w sposób automatyczny by nie wynikało), że los członków takich grup można poprawić tylko pod warunkiem zakazania takich wypowiedzi. No, ale czy katolicy – lub w ogóle ludzie wierzący w Polsce, których świętości bywają czasem znieważane – są w naszym kraju jakąś grupą społecznie wykluczoną – lub czy można poważnie twierdzić, że grozi im degradacja do statusu takiej grupy z tego powodu, że wspomnianego rodzaju wypowiedzi czasem zdarzają się, z czego można byłoby wyciągnąć wniosek, że nie są one dostatecznie ostro tępione? No przecież to jest jakaś kompletna bzdura.

Chciałbym też – odnosząc się do wspomnianego argumentu, który zdaniem sędziego Krzysztofa Wojtyszka stanowi jedną z uzasadnionych przesłanek prawnego zwalczania wypowiedzi znieważających lub wyszydzających obiekty kultu religijnego – zauważyć, że

jest to – znów – jeden z argumentów należących do klasycznego repertuaru rzeczników zakazów mowy nienawiści. Lecz chciałbym zauważyć taką rzecz: w Stanach Zjednoczonych mowa nienawiści – podobnie zresztą, jak np. wypowiedzi o charakterze bluźnierczym – nie jest prawnie zakazana. Każdy więc może, nie narażając się na ciągnięcie go po sądach, mówić i pisać co tylko chce o jakichkolwiek grupach, czy to rasowych, czy narodowych, czy religijnych, czy politycznych bądź jeszcze innych (np. mniejszościach seksualnych) – może znieważać, czy szkalować takie grupy, może nawoływać do nienawiści, a nawet przemocy przeciwko nim (chyba, że chodziłoby o nawoływanie do natychmiastowej przemocy, które powodowałoby bezpośrednie i poważne niebezpieczeństwo jej wzniecenia), każdy może też – bez groźby odpowiedzialności prawnej – lżyć i wyszydzać jakiegokolwiek rodzaju świętości – podobnie też, jak każdy ma prawo np. spalić czy podeptać amerykańską flagę (jeśli oczywiście nie niszczy przez to cudzej własności bez zgody jej właściciela). W ostatnich czasach siewcy nienawiści znaleźli nowe forum szerzenia swoich poglądów w postaci Internetu. Jednak tak się jakoś (może nawet dziwnie dla zwolenników zakazów mowy nienawiści – i potencjalnie może też dla sędziego Wojtyszka) składa, że USA, gdzie mowa nienawiści i (np.) wypowiedzi bluźniercze są tolerowane prawnie społecznie uprzedzenia wobec grup, które często określa się mianem społecznie wykluczonych radykalnie zmniejszyły się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, przy czym stało się to nie tylko, że bez zakazów wypowiedzi w stylu np. tych przewidzianych przez art. 256 i 257, czy też przez art. 196 polskiego k.k., ale wraz ze wzrostem zakresu wolności słowa (w tym także w kontekście tego, co bywa określane mianem mowy nienawiści) w postaci np. uznania przez amerykański Sąd Najwyższy (w 1969 r.), że wypowiedzi propagujące przestępcze działania mogą być karane wyłącznie wówczas, gdy mają one na celu natychmiastowe wzniecenie takich działań i w okolicznościach, w jakich mają miejsce mogą takie działania faktycznie spowodować (10) – a także wraz ze wzrostem możliwości natknięcia się na (np.) mowę nienawiści dzięki rozwinięciu się Internetu – choć w kwestii tego, jak często Amerykanie (i dzięki czemu) stykają się z mową nienawiści mogą jedynie snuć przypuszczenia, to na mój rozum wydaje mi się, że przeciętny mieszkaniec USA ma o wiele większą szansę na zetknięcie się z *hate speech* za pośrednictwem tego ostatniego medium, niż dzięki np. gazetom, czasopismom, książkom czy wystąpieniom ulicznych agitatorów. Dowodzą tego w sposób nader dobitny wyniki badań Instytutu Gallupa na temat stosunku Amerykanów do małżeństw między osobami należącymi do różnych grup rasowych. Kiedy w 1958 r. mieszkańcom USA po raz pierwszy zadano pytanie o to, czy akceptują oni międzyrasowe małżeństwa, okazało się, że małżeństwa takie aprobuje 4% z nich. Jednak od tego momentu aprobatą dla takich małżeństw systematycznie rosła i według badania z 2021 r. wśród ogólnoamerykańskiej dorosłej populacji wynosi ona 94%, zaś wśród osób w wieku 18 – 29 lat 98% (zaś wśród osób w wieku 30 – 49 lat 97%, a wśród tych po pięćdziesiątce 91%). Minimalne są obecnie różnice jeśli chodzi o stopień aprobaty dla międzyrasowych małżeństw między poszczególnymi regionami kraju – w stanach na wybrzeżu Pacyfiku wynosi ona 97%, na wschodzie 94%, na Środkowym Zachodzie 93% i tyle samo na Południu, które przecież w nie tak dawnych czasach wręcz słynęło z rasizmu (w poprzednich badaniach na ten sam temat różnice między regionami USA, jeśli chodzi o panującą w nich aprobatę dla małżeństw między białymi i czarnymi osobami były większe – np. według sondażu Gallupa z 2011 r. na zachodzie Stanów Zjednoczonych nic przeciwko czarno-białym małżeństwom nie miało 91% respondentów,

podczas gdy na południu 79%, z kolei w 1991 r. na zachodzie USA wspomnianego rodzaju małżeństwa akceptowało 60% osób, na wschodzie 54%, na środkowym zachodzie 50%, zaś na południu 33%). Nie ma obecnie wyraźnej różnicy między aprobatą dla mieszanych rasowo małżeństw pomiędzy grupami białych i czarnych Amerykanów – wśród osób z pierwszej z tych grup wynosi ona 93%, zaś wśród drugiej 96% - co jest różnicą w granicach błędu statystycznego – w 1969 r. wspomnianego rodzaju małżeństwa akceptowało 56% Afroamerykanów, lecz tylko 17 % Białych. Zmiana stosunku mieszkańców USA do małżeństw między białymi i czarnymi osobami, będącymi przecież potomkami sprowadzonych niegdyś przemocą do Ameryki niewolników, jaka dokonała się tam w ostatnich dziesięcioleciach jest więc wręcz zdumiewająca. Zwrócenie uwagi na tę zmianę – i doprawdy niewielką obecnie liczbę przeciwników (niekoniecznie też przecież jakichś zagorzałych) mieszanych rasowo małżeństw w USA jest rzeczą ważną z tego powodu, że jak w swoim artykule „The Harm in Hate Speech Laws” (powołując się na wyniki sondażu Gallupa z 2011 r. – według którego międzyrasowe małżeństwa akceptowało ogólnie rzecz biorąc 86% Amerykanów – przy największej aprobacie dla takich małżeństw – na poziomie 90% - na Zachodzie USA i najmniejszą – 79% - na Południu) pisał duński prawnik Jacob Mchangama „*Nie ma chyba lepszego sposobu na zmierzenie poziomu tolerancji i zaangażowania w równouprawnienie społeczeństwa zróżnicowanego etnicznie niż przyjrzenie się małżeństwom międzyrasowym – nielegalnym w 16 stanach, dopóki Sąd Najwyższy nie uchylił prawa Wirginii o mieszanu ras w 1967 roku*”. Zmiana ta dokonała się – jak była tu już mowa – bez zakazów mowy nienawiści. Podobnie też bez zakazów hate speech (a także kłamstwa oświęcimskiego czy propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa) zmniejszeniu uległo w USA natężenie postaw o charakterze antysemitycznym – które według pierwszego badania znanej żydowskiej organizacji AntiDefamationLeague przeprowadzonego w 1964 r. wynosiło 29%, zaś według ostatniego badania z 2015 r. tylko 10%. Tu warto zwrócić uwagę, że liczba dorosłych osób wykazujących postawy antysemityczne według badań ADL w krajach Europy Zachodniej wynosi 24%, zaś w Europie Wschodniej (do której wliczona została Rosja) 34%. Z kolei sondaż przeprowadzony w 2018 r. wśród europejskich Żydów przez Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej wykazał, że zdaniem 89% spośród nich antysemityzm w krajach, w których oni żyją zwiększył się w ciągu 5 lat poprzedzających to badanie, praktycznie takie same były też zresztą odpowiedzi w poprzednim tego rodzaju sondażu w 2012 r. Ze wspomnianego sondażu FRA z 2018 r. wynikało też, że 47% europejskich Żydów wyraziło obawę, że w ciągu najbliższych 12 miesięcy staną się oni obiektem antysemitycznych obelg lub dręczenia (w ciągu 5 lat poprzedzających przeprowadzenie tego sondażu ofiarami tego rodzaju zachowań stało się 39% jego respondentów, a w ciągu 12 miesięcy przed nim 28% spośród nich), a 40% obawia się tego, że w takim czasie będą oni ofiarą fizycznego ataku – wynikało z niego także to, że 38% europejskich Żydów w ciągu 5 lat przed tym sondażem rozważało emigrację z tego powodu, że w krajach w których mieszkają nie czują się bezpiecznie. Wracając do kwestii szerzej rozumianego rasizmu – obejmującego także antysemityzm, lecz nie ograniczającego się do niego – warto zauważyć np. to, że we Francji, gdzie często zdarzają się oskarżenia i procesy o mowę nienawiści (podżeganie do nienawiści, przemocy lub dyskryminacji – w tym także takiej, która nie jest jako taka zakazana przez prawo - a także zniesławianie grup ludzi z takich powodów, jak przynależność bądź nie przynależność narodowościowa, etniczna,

rasowa lub religijna zagrożone jest we Francji karą od miesiąca do roku więzienia lub karą grzywny, maksymalna możliwa kara za znieważanie takich grup, tj. kierowanie pod ich adresem obraźliwych sformułowań, których nie da się traktować jako fałszywe lub prawdziwe wynosi 6 miesięcy więzienia) na stadionach – jak w swojej książce o wolności słowa pisał Timothy Garton Ash *słyszeć rasistowskie śpiewy, a na rynku pracy panuje endemiczna dyskryminacja*. Według z kolei Joela Dreyfussa, byłego redaktora strony internetowej „The Root” jeśli chodzi o postęp w relacjach międzyrasowych to Francja wygląda bardziej, jak Ameryka w latach 50. – z wyjątkiem prawnie narzuconej segregacji - niż jak Ameryka obecnie. To wszystko dzieje się w krajach, w których za mowę nienawiści można nawet trafić do więzienia.

Twierdzenie, że prawna tolerancja dla antyspołecznej ekspresji – tego np. rodzaju, jak mowa nienawiści czy wypowiedzi o charakterze bluźnierczym – prowadzi do potęgowania uprzedzeń wobec grup, do których ekspresja taka się odnosi i do ich społecznego wykluczenia nie ma więc, jak widać, empirycznych podstaw. Argument, że pewne wypowiedzi powinny być zakazane z tego powodu, że wypowiedzi te mogą przyczyniać się do pobudzania uprzedzeń przeciwko pewnym grupom ludzi i prowadzić do społecznego wykluczenia tych grup warto jest też (zapominając choćby o tym, że nie opiera się on na solidnych, faktycznych podstawach) poddać podobnemu testowi, jak argumenty, że pewne rodzaje ekspresji zasługują na prawny zakaz z tego powodu, że stanowią one pośrednie podżeganie do popełniania przestępstw lub z tego powodu, że mogą one skutkować mniejszą lub większą emocjonalną krzywdą. Inaczej mówiąc, należy zastanowić się nad tym, jakich rodzajów wypowiedzi można byłoby prawnie zabronić, gdyby argument ten potraktować konsekwentnie. Znow, co najmniej sporo by ich było. Na takiej samej bowiem zasadzie, na jakiej można twierdzić, że wypowiedzi znieważające świętości takich czy innych grup ludzi bądź mowa nienawiści skierowane przeciwko takim grupom powinny być prawnie tępić z tego względu, że wypowiedzi te mogą się przyczyniać do pobudzania uprzedzeń wobec takich grup i nawet prowadzić do społecznego wykluczenia ich członków można byłoby również twierdzić, że prawo powinno zabraniać wypowiedzi wyrażających opinię, że działania ekipy sprawującej obecnie w Polsce władzę są niezwykle szkodliwe dla naszego kraju (i oczywiście ujawniania i opisywania rozmaitych afer z udziałem przedstawicieli tej władzy) z tego powodu, że wypowiedzi te mogą pobudzać uprzedzenia wobec członków czy też sympatyków PiS-u, czy Solidarnej Polski i prowadzić do społecznego wykluczenia tych osób – w sensie co najmniej takim, że osoby te mogą nie być mile widziane w pewnych towarzystwach. Oczywiście to samo dałoby się powiedzieć o wypowiedziach ekipy rządzącej o jej przeciwnikach. Z pewnością można byłoby twierdzić, że mówienie i pisanie o np. przypadkach seksualnego wykorzystywania dzieci przez przedstawicieli katolickiego kleru – wzmianki o takich przypadkach nie są przecież czymś sporadycznym, zaś z tekstów na rzeczony temat wynika, że wspomniane zjawisko, zarówno w Polsce, jak i innych krajach miało zakres znaczący - może pobudzać uprzedzenia wobec księży czy zakonników i pogarszać społeczne położenie tej grupy osób. Podobnie więc, jak w przypadku wcześniej poruszonych argumentów na rzecz prawnych zakazów pewnych typów wypowiedzi konsekwentne zastosowanie argumentu, o którym była tu mowa musiałoby prowadzić do wniosku o potrzebie istnienia absurdalnie szerokich ograniczeń swobody ekspresji – i z tego

choćby powodu należy uznać, że argument ten nie może uzasadniać ograniczania wolności słowa.

Wreszcie, sędzia Wojtysek w swej opinii twierdził, że w rezultacie takich wypowiedzi, jak wypowiedź Doroty Rabczewskiej, w której wyraziła ona opinię, że biblijne historie spisali ludzie napruci winem i palący niewiedomo jakie zioła „*pokój religijny i harmonijne współistnienie różnych wierzeń i przekonań filozoficznych mogą zostać podważone*” i że polski władze słusznie skazały Dodę w celu ochrony tych m.in. wartości. Do tego argumentu już się oczywiście po części odniosłem, poruszając np. problem tego, jakich wypowiedzi można byłoby zabronić z takiego powodu, że mogą się one przyczyniać do takich czy innych negatywnych zjawisk - np. przestępstw przeciwko czyjemuś życiu, zdrowiu, wolności lub własności.

Lecz tutaj należy postawić jeszcze jedno pytanie – takie mianowicie, czy ograniczenia swobody wypowiedzi – takie np. jak zakazy wypowiedzi bluźnierczych czy też mowy nienawiści – prowadzą do faktycznie większej ochrony spokoju, a także (i nawet przede wszystkim) bezpieczeństwa społecznego, niż brak takich ograniczeń? Aby spróbować na nie odpowiedzieć przyjrzyjmy się np. danym na temat liczby przestępstw z nienawiści w różnych krajach, będących członkami Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie przedstawionym na stronie tej organizacji poświęconej takim przestępstwom. Czy z danych tych wynika np. to, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie mowa nienawiści nie jest karalna zdarza się więcej przestępstw z nienawiści (oczywiście w przeliczeniu na jakąś określoną liczbę mieszkańców – np. 1 milion) niż w krajach, w których za nawoływanie do nienawiści rasowej, czy też znieważenie lub zniesławienie jakiejś grupy narodowej, rasowej, wyznaniowej czy jeszcze innej, bądź grożenie takiej grupie grozi grzywna, czy nawet więzienie?

Otóż, coś takiego na podstawie tych danych powiedzieć jest raczej trudno. W oparciu o te dane policzyć można np. to, że w 2020 r. – ostatnim, którego dotyczą dostępne w tej chwili statystyki - na milion mieszkańców USA przypadało ok. 10,76 przestępstw z nienawiści polegających na użyciu przemocy przeciwko osobie, na milion mieszkańców Austrii (informacje na temat liczby takich przestępstw są w przypadku tego kraju prezentowane tylko w formie danych nieoficjalnych, zabranych przez organizacje pozarządowe – jeśli chodzi o dane na takich przestępstwach zgromadzonych przez policję, to wszystkie takie przestępstwa są na stronie OBWE przedstawiane jako nieokreślone) przestępstw takich było 7,18, na milion mieszkańców Finlandii przestępstw takich przypadało 61,11, we Francji na milion mieszkańców było ich 11,07, na milion mieszkańców Holandii tego rodzaju hate crimes przypadało 40,08, na milion mieszkańców Kanady 13,63, na milion mieszkańców Niemiec 13,29, na milion mieszkańców Norwegii 26,21, na milion mieszkańców Szwecji 29,18, zaś w odniesieniu do Wielkiej Brytanii (zaś dokładniej mówiąc Anglii i Walii) to w oparciu o dostępne dane statystyczne można policzyć, że okresie statystycznym 2019/2020 przestępstw z nienawiści, polegających na fizycznym zaatakowaniu osoby było tam ok. 667 na milion mieszkańców. Jeśli chodzi o motywowane nienawiścią wobec osób należących do takich czy innych grup przestępstwa przeciwko własności to na milion mieszkańców USA przestępstw takich przypadało 8,94, na milion mieszkańców Austrii było ich (znów, w świetle nieoficjalnych danych) 23,21, na milion mieszkańców Finlandii 21,33, na milion

mieszkańców Francji 3,03, na milion mieszkańców Holandii 22,48, na milion mieszkańców Kanady 30,91, na milion mieszkańców Niemiec 13,61, na milion mieszkańców Norwegii 5,76, na milion mieszkańców Szwecji 18,07, zaś na milion mieszkańców Anglii i Walii przestępstw takich przypadało ok. 70. Z kolei takich przestępstw z nienawiści, jak groźby i grożące zachowania było w USA w 2020 r. 11,96 na milion mieszkańców, w Austrii (według nieoficjalnych danych) na milion mieszkańców przestępstw takich przypadało 4,71, w Finlandii 35,62, we Francji 27,33, w Holandii 36,58, w Kanadzie 13,31, w Niemczech 6,74, w Norwegii 13,94, w Szwecji 48,99; niestety trudno jest mi podać, ile wspomnianego rodzaju hate crimes przypadało w okresie statystycznym 2019/2020 na milion mieszkańców Anglii i Walii – dane przedstawione w tym źródle nie są niestety zbyt (przynajmniej jeśli chodzi o tę sprawę) przejrzyste. Wszystkich natomiast wspomnianych wcześniej przestępstw z nienawiści było w 2020 r. w USA 31,65 na milion mieszkańców, w Austrii (w świetle danych nieoficjalnych) na milion mieszkańców przypadało ich 35,21, w Finlandii 118,06, we Francji 41,43, w Holandii 99,14, w Kanadzie 57,85, w Niemczech 33,64, w Norwegii 45,92, w Szwecji 96,23, natomiast na milion mieszkańców Anglii i Walii przestępstw z nienawiści polegających na fizycznym zaatakowaniu osoby lub zniszczeniu własności było w okresie statystycznym 2019/2020 ok. 775.

Jak zatem widać, jakkolwiek obraz przestępstw z nienawiści, przypadających na milion mieszkańców Stanów Zjednoczonych, Austrii, Finlandii, Francji, Holandii, Kanady, Niemiec, Norwegii, Szwecji i Wielkiej Brytanii, które to kraje różnią się między sobą m.in. tym, że o ile w pierwszym z nich mowa nienawiści nie jest karalna, to we wszystkich pozostałych jest ona traktowana jako przestępstwo – i które niewątpliwie mają tę wspólną cechę, że są krajami podobnie zróżnicowanymi narodowościowo, etnicznie, rasowo, religijnie i kulturowo – nie jest po prostu czarno – biały – zdarzało się, że jakiegoś typu hate crimes w niektórych krajach zabraniających hate speech było, w stosunku do liczby ludności danego kraju mniej, niż w USA, gdzie mowa nienawiści nie stanowi przestępstwa – np. aktów fizycznej przemocy przeciwko osobom było w 2020 r. cokolwiek jakby mniej w Austrii, niż w USA, przestępstw z nienawiści wymierzonych w dobra materialne było mniej we Francji i w Norwegii, niż w Stanach Zjednoczonych, z kolei gróźb było mniej w Austrii i Niemczech, to jednak wszystkich wspomnianych przestępstw z nienawiści razem wziętych w przeliczeniu na milion mieszkańców było w USA mniej, niż w każdym innym ze wspomnianych tu krajów. Zaś jeśli chodzi o poszczególne typy hate crimes, o których była tu mowa – tj. fizyczne ataki na osoby, przypadki zniszczenia czyjejś własności, oraz groźby i grożące zachowania – to Stany Zjednoczone, nie zawsze mając najniższą liczbę tego czy innego typu przestępstw z nienawiści na milion mieszkańców, to w każdym jednak przypadku plasowały się one w dolnym zakresie tego smutnego w gruncie rzeczy rankingu. (11)

Jeszcze więcej do myślenia, niż porównanie ogólnych liczb przestępstw z nienawiści w USA i krajach, o których była tu wcześniej mowa może dać podobne porównanie hate crimes o charakterze antysemitycznym. Porównanie takie warto zrobić z takiego choćby względu, że tam, gdzie mowa nienawiści jest karalna chyba żaden inny rodzaj tej mowy nie jest równie zaciekle tępiący, jak hate speech skierowana przeciwko Żydom. Zaryzykować można twierdzenie, że niektórych państwach europejskich Żydzi są prawnie chronieni przed wypowiedziami, które mogą być dla nich obraźliwe i ewentualnie pobudzać wrogość

przeciwko nim nie tylko przy użyciu przepisów zabraniających np. nawoływania do nienawiści narodowościowej, rasowej, wyznaniowej czy jeszcze innej, bądź znieważania czy zniesławiania grup narodowych, rasowych, wyznaniowych, etc., lecz także przy użyciu przepisów zabraniających np. negowania czy czasem nawet tylko bagatelizowania hitlerowskich zbrodni przeciwko ludzkości z okresu II wojny światowej – skierowanych w przeważającej mierze przeciwko Żydom – czy też zakazujących propagowania nazizmu jako pożądanego ustroju państwowego, bądź używania nazistowskich symboli i gestów. Czy w USA – gdzie o Żydach każdy może mówić i pisać, co tylko chce – a zatem także szerzyć nienawiść, a nawet zachęcać do przemocy przeciwko nim (o ile nie jest to bezpośrednio niebezpieczne zachęcanie do natychmiastowej przemocy) zdarza się – znów, w przeliczeniu na milion mieszkańców – więcej antyżydowskich przestępstw z nienawiści, niż w pozostałych wspomnianych tu krajach – gdzie za antysemitkę wypowiedzi można zapłacić wysoką grzywnę, lub nawet trafić za kratki?

Jeśli chodzi akurat o to, to na podstawie dostępnych w Internecie danych o liczbach Żydów mieszkających we wspomnianych tu wcześniej państwach, liczbach odnotowanych w tych krajach w 2020 r. przestępstw z nienawiści przeciwko Żydom i danych o liczbach ludności tych krajów policzyłem, że w 2020 r. w Stanach Zjednoczonych jedno antysemityczne przestępstwo polegające na fizycznym zaatakowaniu osoby przypadało na ok. 60 638 Żydów – i ok. 3 505 319 wszelkiego rodzaju mieszkańców. Natomiast w Austrii jedno takie przestępstwo przypadało na ok. 687 Żydów – i ok. 594 467 ogółu mieszkańców, a więc na ok. 98 razy mniejszą liczbę Żydów i ok. 6 razy mniejszą liczbę wszelkich mieszkańców tego kraju, niż w 2020 r. w USA. W Finlandii jeden antysemityczny atak na osobę przypadał w 2020 r. na 1300 Żydów i na ok. 5 531 000 ogółu populacji, tj. na ok. 60 638 razy mniej Żydów i na ok. 1,58 razy większą liczbę mieszkańców tego kraju jako takich w ogóle, niż w Stanach Zjednoczonych. We Francji jedno antysemityczne przestępstwo w rodzaju fizycznego ataku na osobę przypadało (w 2019 r.) na ok. 8 960 Żydów i na ok. 1 345 000 ogółu ludności – a więc na ok. 6,7 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 2,6 razy mniejszą liczbę wszelkich mieszkańców, niż w tym samym roku w USA. W Holandii jeden antysemityczny motywowany przypadek fizycznej napaści na osobę przypadał w 2020 r. na ok. 1104 Żydów i na ok. 645 926 wszelkich mieszkańców, tj. na ok. 55 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 5,4 razy mniejszą liczbę ogółu ludności, niż w Stanach Zjednoczonych. W Kanadzie jedno takie antysemityczne przestępstwo przypadało na ok. 43 667 Żydów i na ok. 4 223 333 wszelkich mieszkańców, tj. na ok. 1,39 razy mniejszą liczbę Żydów i ok. 1,2 razy większą liczbę mieszkańców, niż w USA. W Niemczech jeden antysemityczny akt przemocy przeciwko osobie przypadał na ok. 2314 Żydów i na ok. 1 632 157 wszelkich mieszkańców, tj. na ok. 26 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 2,15 razy mniejszą liczbę mieszkańców, niż w USA – warto tu przy okazji dodać, że jeśli za prawdziwą uznać podaną przez organizacje pozarządowe liczbę 127 fizycznych ataków z powodów antysemitycznych na Żydów w Niemczech w 2020 r. – a nie oficjalną policyjną liczbę 51 takich ataków (obie te liczby przedstawione są na stronie OBWE) – to jedno takie antysemityczne przestępstwo przypadało w Niemczech w 2020 r. na ok. 929 Żydów i na ok. 655 433 osób z ogółu ludności, a więc na ok. 65 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 5,35 razy mniejszą liczbę ogółu mieszkańców, niż w Stanach Zjednoczonych. W Norwegii jeden akt antysemitycznej przemocy przypadał w 2019 r. (dane z 2020 r. na ten

temat są niedostępne) na 325 Żydów i na 1 344 750 ogółu populacji, tj. na ok. 154 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 2,14 razy mniejszą liczbę ludności jako takiej w ogóle, niż w tym samym roku w USA. W Szwecji jeden przypadek antysemitycznej przemocy skierowanej bezpośrednio przeciwko osobie przypadał w 2020 r. na 5000 Żydów i na 3 450 000 ogółu mieszkańców, tj. na ok. 12 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 1,02 razy większą liczbę ludności, niż w USA. Z kolei w Wielkiej Brytanii jeden akt antysemitycznej przemocy w 2021 r. (informacja za raportem Community Security Trust) przypadał na ok. 1659 tamtejszych Żydów i na 383 426 ogółu ludności, czyli na ok. 37 razy mniejszą liczbę Żydów i na ponad 9 razy mniejszą liczbę całej ludności, niż w USA w 2020 r. Dodać wreszcie można, że w Szwajcarii – małym, bardzo spokojnym europejskim kraju, mającym jednak od 1995 r. w swym kodeksie karnym zapisany bardzo szeroki zakaz mowy nienawiści (art. 261 bis) jeden akt antysemitycznej przemocy przypadał w 2020 r. na ok. 6167 Żydów i na 2 879 000 mieszkańców Szwajcarii w ogóle, tj. na blisko 10 razy mniejszą liczbę Żydów i na ok. 1,22 razy mniejszą liczbę ogółu mieszkańców, niż w USA (było to wynikiem trzech takich przestępstw, w 2019 r. takich akurat antysemitycznych przestępstw odnotowano w Szwajcarii 6, w 2018 r. 2, w 2017 r. 6, w 2016 r. 3, z wcześniejszych lat nie ma danych). Nie ma co już robić analogicznych obliczeń odnośnie takich antysemitycznych przestępstw, jak przypadki zniszczenia żydowskiej własności i grożenie Żydom użyciem wobec nich przemocy – wyniki byłyby podobne; w zbliżony sposób wyglądałyby też porównania antysemitycznych przestępstw w USA i pozostałych wspomnianych tu krajach we wcześniejszych latach - to samo tyczy się porównań liczb przestępstw z nienawiści przeciwko Żydom jako takich w ogóle. Co z danych tych ewidentnie wynika, to to, że zakazy mowy nienawiści przestępstwom z nienawiści – takim, jak fizyczne ataki na ludzi – nie zapobiegają.

Co do natomiast przemocy na tle religijnym – której zdaniem sędziego Wojtyszka miałyby zapewne zapobiegać zakazy bluźnierczych wypowiedzi tego rodzaju, co art. 196 polskiego k.k. (obok zakazów mowy nienawiści) – to tu akurat chciałbym zauważyć, że w 2020 r. w USA (gdzie oczywiście nie ma ani jednych, ani drugich zakazów) odnotowano 44 fizyczne napaści na muzułmanów, z czego wynika, że jedno takie przestępstwo z nienawiści przypadało tam na ok. 76 667 muzułmanów i na ok. 7 488 636 wszystkich mieszkańców tego kraju. Natomiast w Austrii, gdzie prawo zabrania zarówno mowy nienawiści, jak i wyszydzania religii i obiektów kultu odnotowano w 2020 r. 8 aktów anty-muzułmańskiej przemocy, co daje jedno takie przestępstwo na 90 000 tamtejszych wyznawców islamu i na 1 114 625 całej austriackiej populacji. Jak zatem widać, jeden akt anty-muzułmańskiej przemocy przypadał w Austrii w 2020 r. na ok. 1,17 razy większą liczbę muzułmanów, niż w USA, lecz jednocześnie na ok. 6,72 razy mniejszą liczbę ogółu ludności. Natomiast przestępstw z nienawiści wymierzonych w należącą do muzułmanów własność było w 2020 r. po prostu więcej w Austrii, niż w USA - w pierwszym z tych krajów tego rodzaju czynów odnotowano wówczas 71, w drugim zaś 39. Z kolei jedno przestępstwo z nienawiści w rodzaju bezpośredniego fizycznego ataku na osobę motywowane animuszem antychrześcijańskim przypadało w 2020 r. w USA na ok. 9 414 286 osób z ogółu populacji, natomiast w Austrii na ok. 2 972 333 mieszkańców tego kraju. Jedno zaś przestępstwo motywowane nienawiścią wobec chrześcijan wymierzone w należącą do nich własność przypadało w 2020 r. na ok. 2 370 504 mieszkańców USA i na ok. 469 316 mieszkańców

Austrii. Przede wszystkim jednak chciałbym zauważyć to, że najwyższy poziom konfliktów i przemocy na tle związanym z religią istnieje – jak pokazuje to opublikowany w styczniu 2014 r. raport Pew Research Center – w tych państwach, w których istnieją daleko idące ograniczenia wolności słowa w kwestiach dotyczących religii – w 2012 r. na czele tego niestety tragicznego w praktyce rankingu był Pakistan, a dalej Afganistan, następnie zaś Indie, Somalia, Izrael, Irak, Terytoria Palestyńskie, Syria, Rosja, Indonezja, Nigeria, Jemen, Kenia, Egipt, Sudan, Liban, Sri Lanka, Bangladesz, Tajlandia i Birma. Z przedstawionego w raporcie Pew wykresu wynika z kolei, że w latach 2007 – 2012 natężenie konfliktów religijnych w krajach Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki wzrosło z poziomu 3,7 do poziomu 6,4, w krajach dalekowschodnich z poziomu 1,7 do poziomu 2,9, w krajach europejskich z poziomu 1,2 do poziomu 2,7, w Afryce Sub-sacharyjskiej z poziomu 0,4 do poziomu 2,1, zaś w obu Amerykach z poziom 0,3 do poziomu 0,4. Natomiast na zamieszczonej w raporcie Pew mapce Stany Zjednoczone przedstawione są jako kraj o umiarkowanym poziomie konfliktów na tle związanym z religią, zaś takie kraje, jak np. Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Szwecja jako państwa o wysokim poziomie takich konfliktów (państw o niskim poziomie konfliktów na tle religijnym jest na wspomnianej mapce niewiele – dostrzec można na niej m.in. Kanadę, Ekwador, Peru, Boliwię, Namibię, Portugalię i Mongolię). To, czym Stany Zjednoczone różnią się od Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Szwecji to m.in. tym, że o ile w pierwszym z tych krajów wolność słowa jest niemal nieograniczona, to w pozostałych tych krajach podlega ona prawnym restrykcjom niekoniecznie w postaci zakazu bluźnienia czy obrażania uczuć religijnych (z wyjątkiem Niemiec, gdzie publiczne znieważanie czyichś przekonań religijnych lub filozoficznych jest przestępstwem podlegającym karze do 3 lat więzienia, choć pod warunkiem, że coś takiego zagraża publicznemu spokojowi; tak nawiasem mówiąc w 2020 r. w Niemczech odnotowano większą liczbę aktów przemocy przeciwko muzułmanom – 66 – niż w USA, gdzie przestępstw takich stwierdzono wówczas 44), ale w każdym przypadku w postaci zakazów mowy nienawiści. Co zatem z pewnością praktycznie stuprocentową można powiedzieć, to to, że tezę, iż ograniczenia wolności słowa – czy to w postaci zakazów mowy nienawiści, czy też wypowiedzi znieważających religijne (bądź ewentualnie jeszcze inne) świętości mogą w sposób efektywny służyć zmniejszaniu natężenia konfliktów społecznych i zapobieganiu przestępstwom z nienawiści można spokojnie zakwalifikować do kategorii bajek. (12)

Jak zatem widać, opinia sędziego Wojtyszka w sprawie *Rabczewska v. Poland* opiera się na częściowo potencjalnie bardzo niebezpiecznych dla wolności słowa – i mogących prowadzić do problemów związanych np. z zasadą równego traktowania ludzi przez prawo (dlaczego zabraniać pewnych obraźliwych dla niektórych osób bądź potencjalnie niebezpiecznych wypowiedzi, a innych nie?), a częściowo po prostu fałszywych przesłankach. Lecz jest jeszcze jeden element sędziego Wojtyszka, na który chciałbym zwrócić uwagę, a który w tej opinii jest czymś ważnym, o ile nie kluczowym dla jej konkluzji, jaką było stwierdzenie, że skazanie Dody za jej wypowiedź o autorach Biblii naprutyh winem i palących niewiedomo jakie zioła nie naruszało art. 10 ust. 1 EKPC. Chodzi mianowicie o fragment, w którym polski sędzia ETPC stwierdził, że „*Należy (...) zauważyć, że wolność od zniewag wpływających na uczucia religijne wierzących jest ważnym elementem wolności sumienia i wyznania*”.

Można się zgodzić z tym twierdzeniem? Odnosnie pewnych sytuacji, w jakich padają, czy też mogą padać takie zniewagi jak najbardziej. Wyobraźmy sobie w tym kontekście taką np. sytuację, że podczas mszy św. odprawianej w kościele ktoś na całe gardło zaczyna wykrzykiwać jakieś bluźnierstwa, przeszkadzając w ten sposób księdzu w odprawianiu mszy i wiernym w braniu udziału w niej. Nie ulega wątpliwości, że w takiej sytuacji wypowiedzi znieważające obiekty kultu religijnego naruszają prawo osób znajdujących się w kościele do wolności sumienia i wyznania, której niewątpliwym elementem jest prawo do sprawowania nabożeństw i uczestniczenia w nich w niezakłócony sposób. Choć oczywiście do tępienia takich zachowań na drodze prawnej absolutnie wystarczający jest art. 195 k.k. zgodnie z którym *„Kto złośliwie przeszkadza publicznemu wykonywaniu aktu religijnego kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”* - art. 196 nie jest do tego potrzebny, a nawet przydany (co na podstawie tego przepisu można byłoby zrobić wówczas, gdyby ktoś zakłócał nabożeństwo wznosząc okrzyki nie będące znieważaniem ani przedmiotu czci religijnej, ani też miejsca przeznaczonego do publicznego sprawowania obrzędów religijnych?).

Czy twierdzenie sędziego Wojtyszka może być jednak uzasadnione w odniesieniu do tych wypowiedzi znieważających obiekty kultu religijnego, które po prostu pojawiają się w przestrzeni publicznej – na stronach internetowych, w książkach, w prasie, w filmach czy wystąpieniach wiecowych mówców? Takie wypowiedzi niewątpliwie mogą powodować u niektórych ludzi jakąś – przynajmniej chwilową – emocjonalną dolegliwość. Mogą urazić uczucia, jakie wielu ludzi ma w związku ze swą wiarą, która jest dla nich niezmiernie ważną częścią ich osobistej, wewnętrznej tożsamości.

Ale czy wypowiedzi obrażające uczucia religijne – takie, jak wypowiedź Dody, czy też wypowiedzi znacznie bardziej od niej rażące i drastyczne – rzeczywiście naruszają wolność sumienia i wyznania tych osób, które w wyniku tych wypowiedzi poczuły się pokrzywdzone w związku z czymś, co odebrały one jako niedopuszczalny atak na coś, co jest dla nich święte? To bynajmniej nie jest oczywiste. Zauważmy bowiem taką rzecz: osoby, których uczucia religijne zostały obrażone przez jakąś bluźnierczą wypowiedź mogą dalej wierzyć, w co tylko chcą. Można sobie poważnie wyobrazić kogoś, kto stwierdziłby np. coś takiego: „moje uczucia związane z wiarą w Boga zostały obrażone, nie mogę więc dłużej wierzyć w Boga”? No oczywiście nie. Osoby takie, jak te, o których tu jest mowa mogą też swobodnie, jak im tylko dyktuje sumienie, chodzić lub nie chodzić do kościoła (cerkwi, meczetu, synagogi, świątyni buddyjskiej, etc.), modlić się lub nie modlić itd. Wolność sumienia i wyznania osób, których uczucia religijne zostały obrażone nie jest zatem naruszana.

Lecz dla dobra argumentacji pójdźmy tropem rozumowania sędziego Wojtyszka. Prawo do wolności sumienia i wyznania, które jego zdaniem Doda jakoby naruszyła swą wypowiedzią sędzia Wojtyszek wywodzi z art. 9 ust. 1 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, który mówi, że *„Każdy ma prawo do wolności myśli, sumienia i wyznania; prawo to obejmuje wolność zmiany wyznania lub przekonań oraz wolność uzewnętrzniania indywidualnie lub wspólnie z innymi, publicznie lub prywatnie, swego wyznania lub przekonań przez uprawianie kultu, nauczanie, praktykowanie i czynności rytualne”*. To, że ten fragment EKPC jest (na ile oczywiście może być) gwarancją wolności religijnej jest rzeczą oczywistą (choć chciałbym

zauważyć, że gwarancją tej wolności są w dużej mierze także art. 10 i 11 – wszak praktyki religijne są ekspresją i polegają one także na pokojowym zrzeszaniu i gromadzeniu się). Lecz warto też zauważyć to, że art. 9 ust. 1 EKPC nie chroni tylko i wyłącznie wolności sumienia i wyznania w sensie religijnym. Mowa jest też w nim o wolności myśli i przekonań – nie jest powiedziane w nim jakich, z czego należy wyciągnąć wniosek, że wszelkich (choć oczywiście wolność ekspresji myśli i przekonań może, zgodnie z ust. 2 tego artykułu, podlegać przewidzianym przez ustawę i koniecznym w społeczeństwie demokratycznym ograniczeniom).

Sędzia Wojtyšek stwierdził, że korzystanie przez Dodę z prawa do wolności wyrażania opinii, gwarantowanego przez art. 10 ust. 1 EKPC, naruszało gwarantowane przez art. 9 ust. 1 tejże konwencji prawo innych osób do korzystania z wolności sumienia i wyznania, a zatem skazanie Dody za jej wypowiedź było usprawiedliwione przez art. 10 ust. 2 rzymskiej Konwencji. Lecz czy opierając się na stwierdzonym przeze mnie powyżej – i trudnym chyba do zanegowania – fakcie, że art. 9 ust. 1 EKPC chroni wolność wszelkich myśli i przekonań, a nie tylko tych związanych z religią nie można byłoby stwierdzić, że ten ostatni przepis usprawiedliwia zakazy wypowiedzi rażących takich czy innych ludzi z powodu ich myśli i przekonań o charakterze wcale nie koniecznie religijnym – lecz także np. filozoficznym, artystycznym, estetycznym, światopoglądowym, politycznym, historycznym, itd.? To by było po mojemu ciekawe: *prawo do wolności myśli przeciwko prawu do wolności słowa*. Dobrze w tym wszystkim jest jedno: to mianowicie, że opinii sędziego Wojtyška, usprawiedliwiającej skazanie Dody za stwierdzenie, że ciężko jest wierzyć w coś, co napisali ludzie napruci winem i palący niewiedomo jakie zioła na gruncie art. 9 ust. 1 i art. 10 ust. 2 EKPC nie poparł żaden inny sędzia, orzekający razem z nim we wspomnianej tu sprawie.

Przypisy:

Przyp. 1. Dokładnie mówiąc, w tekście „Trybunał Konstytucyjny: wróg wolności słowa” z 2015 r..

Przyp. 2. Zob. w tej kwestii teksty na mojej stronie internetowej, a także blogu.

Przyp. 3. Zob. w tej kwestii artykuł Kenana Malika „Am I wrong about hate speech bans?”.

Przyp. 4. Pisała o tym np. Amy Adler (profesor prawa na Uniwersytecie Nowojorskim) w opublikowanym w 2001 r. artykule „THE PERVERSE LAW OF CHILD PORNOGRAPHY”.

Przyp. 5. Wspomniała o tym Nadine Strossen (emerytowana profesorka prawa na Uniwersytecie Nowojorskim i była przewodnicząca American Civil Liberties Union) w swym artykule „Dlaczego ocenianie pornografii nie zmniejszyłoby dyskryminacji kobiet, ani przemocy wobec nich” opublikowanym w „Kobiety, mężczyźni i płęć” – praca zbiorowa pod redakcją Mary Roth Walsh, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2003.

Przyp. 6. Warto zwrócić uwagę na to, jakie wypowiedzi bywały w przeszłości karane czy zakazywane z takiego powodu, że mogą one prowadzić do złych konsekwencji – takich, jak przemoc, zamieszki, rewolucja... czy też kontrrewolucja. I tak np. w osiemnastowiecznej Anglii praktycznie każda krytyka władzy mogła być karana jako tzw. wywrotowe oszczerstwo (*seditionous libel*). Co ciekawe, w myśl panującej wówczas w Wielkiej Brytanii prawnej doktryny stwierdzające prawdę wypowiedzi o rządzących były uznawane za większe przestępstwo, niż wypowiedzi kłamliwe – opierało się to na rozumowaniu, że ponieważ trudniej jest wykazać fałszywość prawdy, niż udowodnić kłamliwość kłamstwa, to właśnie takie stwierdzające prawdę, mogącą źle świadczyć o władzy wypowiedzi z większym prawdopodobieństwem, niż wypowiedzi stwierdzające fałsz mogą prowadzić do społecznych zaburzeń – i w związku z tym takie wypowiedzi zasługują na karalność jeszcze bardziej, niż kłamstwa – w czasach, o których jest tu mowa w Wielkiej Brytanii funkcjonowało stwierdzenie „*the greatest truth, the greatest libel*” – czyli, że największa prawda jest największym oszczerstwem. W podobny sposób uzasadniane było w Wielkiej Brytanii prawo przeciwko religijnemu bluźnierstwu, które do połowy XIX wieku rozumiane było niezwykle szeroko – jako wszelkie wypowiedzi zaprzeczające temu, co jest zapisane w Biblii czy podważające autorytet anglikańskiego Kościoła. W pochodzącym sprzed ponad 10 lat artykule Jacoba Mchangamy „*The Harm in Hate Speech Laws*” można przeczytać, że początku XIX wieku w Wielkiej Brytanii miało miejsce szereg procesów przeciwko deistom, ateistom i wolnomyślicielom, z których kimś najbardziej prominentnym był Charles Carlile, którego postawiono przed sądem za sprzedawanie kopii książek Toma Paine’a „*Age of Reason*” i „*Rights of Man*”. Jak pisał Mchangama, argument prokuratury przeciwko Carlilemu był zdumiewający: karanie za bluźnierstwo było konieczne nie ze względu na ochronę religii jako takiej, co pierwotnie było jego głównym uzasadnieniem, ale ze względu na dobro publiczne. Chodziło w tym wszystkim o „*chronienie klas niższych i niepiśmiennych przed osłabieniem ich wiary i oderwaniem ich umysłów od tych zasad moralności, które są tak potężnie wpajane przez religię chrześcijańską. . . Kiedy tak straszne produkcje trafiają w ręce tych, którzy w przeciwieństwie do bogatych, poinformowanych i potężnych, nie są w stanie rozróżnić między pomysłowymi, choć złośliwymi argumentami, a boską prawdą – konsekwencje są zbyt straszne, aby je rozważać*”. Innymi słowy, brytyjskie władze ze wspomnianego okresu uważały, że zakaz szerzenia twierdzeń podważających np. wiarę w to, że człowieka w zamian za jego postępowanie w ziemskim życiu czeka albo wieczna nagroda w niebie, albo niemające końca męczarnie w piekle jest uzasadniony tym, że jeśli ludzie – a zwłaszcza ci wywodzący się z niższych klas społecznych – uwierzą w takie twierdzenia, to zapanuje ogólne zdziwienie, chaos, anarchia i generalna *bellum omnium contra omnes*. W południowych stanach USA w czasach, w których istniało tam niewolnictwo publikacje określone prawnie jako np. mające „ewidentną tendencję” do wywoływania u wolnych

Murzynów niezadowolenia ze swojego położenia społecznego lub wywoływania niezadowolenia u niewolników z powodu swej niewoli były zakazane w myśl przekonania, że publikacje te, zwłaszcza, jeśli ich treść dotrze do wolnych, czy też zniewolonych Murzynów (których poniekąd nie wolno było uczyć pisać i czytać) mogą pobudzić nastroje, których efektem może stać się przemoc przeciwko właścicielom niewolników bądź władzom wspierającym czy tolerującym niewolnictwo. W czasach stalinowskich w ZSRR jako podżeganie do terroryzmu traktowane było pokazanie komuś numeru „Prawdy” z artykułem Lenina, w którym ten wyraził pogląd, że Stalin, ze względu na cechy swojej osobowości, nie powinien zostać przywódcą ZSRR. W okresie stalinizmu w Polsce nawet z pozoru zupełnie niewinne stwierdzenia – takie, jak (to oczywiście tylko jeden z niezliczonych przykładów) wypowiedź instruktora rolnego z powiatu leskiego Stanisława Bezega, który w odpowiedzi na skargi mieszkańców wsi Paszowa, że dostarczył im wątle owce do hodowli zażartował, że *„jak jest Polska Partia Radziecka, Polska Partia Sowiecka i sowieccy ludzie i istnieje chłopski rząd, to takie wszystko jest”* były traktowane przez wojskowe sądy, do których trafiały sprawy o takie wypowiedzi jako przestępstwo podjęcia przygotowań do dokonania zmiany ustroju państwa przy użyciu przemocy. W przypadku wspomnianej powyżej wypowiedzi Stanisława Bezega Wojskowy Sąd Rejonowy w Rzeszowie uznał, że wypowiedź ta szkalowała ustrój Polski i zmierzała do przygotowania odpowiednich nastrojów, wrogich ustrojowi, a przydatnych dla przyszłych wykonawców zamachu na ten ustrój (informacja za książką Ewy Leniart „Skazani za antykomunizm. Orzecznictwo Wojskowego Sądu Rejonowego w Rzeszowie w latach 1946–1954/1955”, publikacja IPN, 2016). (książkę tę przeglądałem w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, znajduje się w wolnym dostępie).

Zwróćmy uwagę na to absurdatne przynajmniej na pierwszy rzut oka stwierdzenie rzeszowskiego WSR-u – gdzie bowiem od takiej wypowiedzi, jak żartobliwy komentarz Stanisława Bezega o powodach dostarczenia rolnikom „wątlów owiec do hodowli” do próby zbrojnego przewrotu? Czy argument rzeszowskiego WSR-u, przy użyciu którego uzasadnił on skazanie Stanisława Bezega na karę więzienia za wypowiedź, która nie miała i w praktycznie oczywisty sposób nie mogła mieć żadnych bezpośrednio szkodliwych konsekwencji (i nawet nie była po prostu obraźliwa – trudno byłoby ją uznać za np. znieważenie jakichś osób, grup osób, czy organizacji – chyba, żeby takie pojęcie, jak zniewaga interpretować w jakiś niezmiernie szeroki sposób; na pewno żaden sąd nie uznałby takiej wypowiedzi za znieważającą w czasach obecnych) nie przypomina przypadkiem argumentu zwolenników zakazu hate speech, że mowa nienawiści powinna być karana z tego powodu, że może ona prowadzić do przekonań i wywoływać czy podsycać emocje, mogące stać się podłożem dla przestępstw z nienawiści? Stawiając takie pytanie nie zamierzam sugerować jakiegoś bliskiego podobieństwa rzeczników prawnego tępienia *hejtspiczu* do stalinowskich sędziów i prokuratorów (nie mówiąc już np. o zwykłych ubekach). Różnice między jednymi, a drugimi są z pewnością znaczące. Dzisiejsi zwolennicy istnienia w prawie karnym – i egzekwowania – przepisów tego rodzaju, co artykuły 256 i 257 polskiego kodeksu karnego – czy też przepisów zabraniających – powiedzmy - produkowania i rozpowszechniania pornografii prezentującej udawaną choćby przemoc czy tzw. wirtualnej pornografii dziecięcej, bądź propagowania lub pochwalania zachowań o charakterze pedofilskim (albo rozszerzenia

tych przepisów tak, by zakazywały one niektórych wypowiedzi, które jak dotąd nie są przez nie zakazane, a zdaniem wielu ludzi powinny być – np. mowy nienawiści odnoszącej się do takich grup, jak osoby LGBT+, czy osoby niepełnosprawne) raczej nie są zwolennikami takiego ustroju, jak ten, który zapanował w Polsce po II wojnie światowej. Z pewnością nie są oni zwolennikami tortur, niehumanitarnego traktowania przeciwników władzy (którymi przecież nieraz są – przynajmniej jeśli chodzi o obecną władzę tzw. Zjednoczonej Prawicy) i przynajmniej z reguły nie są też zwolennikami nadużywania prawa – w tym także tego zabraniającego (np.) „mowy nienawiści” – skazanie wspomnianego tu Stanisława Bezega za przestępstwo z art. 87 w związku z art. 86 §2 kodeksu karnego wojska polskiego z dnia 23 września 1944 r. czyli za podjęcie przygotowań do usiłowania zmiany ustroju Państwa Polskiego przemocą było niewątpliwie nadużyciem obowiązującego prawa z tej choćby racji, że zgodnie z art. 12 §1 k.k.w.p. warunkiem zaistnienia każdego umyślnego przestępstwa określonego w tym okrutnym poniekąd kodeksie – dopuszczał on możliwość wymierzenia kary śmierci za takie np. przestępstwo, jak publiczne lżenie, znieważanie albo wyszydzanie ustroju Państwa Polskiego (art. 103), zaś niektóre przepisy tego kodeksu dotyczące wyłącznie żołnierzy przewidywały karę śmierci jako jedyną możliwą sankcję za ich złamanie – było przynajmniej to, by jego sprawca przewidywał możliwość, że jego działanie przyniesie skutek przestępczy lub że działanie takie samo w sobie jest przestępstwem i z tą możliwością się godził – trudno jest sobie w sposób poważny wyobrazić to, że Stanisławowi Bezegowi mogło przyjść do głowy to, że jego żartobliwa uwaga skierowana do mieszkańców wsi Paszowa może w jakikolwiek sposób przyczynić się do stworzenia warunków do dokonania siłowego zamachu na ustrój. Rzecznicy zakazów hate speech działają – w swoim przynajmniej przekonaniu – w obronie takich wartości, jak wzajemna tolerancja między różnymi grupami narodowościowymi, rasowymi, etnicznymi, religijnymi itp. w społeczeństwie, zapobieganie dyskryminacji osób należących do mniejszości społecznych i niedopuszczanie do przemocy (bądź powstrzymywanie przemocy) do której ich zdaniem mowa nienawiści może się przyczyniać. Lecz argument zwolenników zakazów hate speech mówiący to, że wypowiedzi nawołujące do nienawiści wobec takich czy innych grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, religijnych, lub jeszcze innych (np. osób LGBT+), czy znieważające bądź zniesławiające takie grupy powinny być karane z tego powodu, że wypowiedzi takie, nawet jeśli nie propagują one wprost przemocy czy jakichkolwiek zakazanych prawnie działań, to mogą u niektórych, podatnych na ich wpływ osób pobudzić stany psychiczne, mogące w przypadku niektórych z tych niektórych osób – bo przecież jasne jest chyba, że nie w przypadku wszystkich – stać się podłożem dla dokonania jakichś groźnych, szkodliwych i bezpośrednio już krzywdzących innych ludzi czynów w istocie rzeczy nie różni się od używanego przez sędziów i prokuratorów z najmroczniejszych lat Polski tzw. Ludowej argumentu, że takie wypowiedzi, jak wspomniana tu wypowiedź Stanisława Bezega, czy też wypowiedzi wyrażające krytyczne opinie o ustroju, o rządzących, o Związku Radzieckim, mówiące o brakach w zaopatrzeniu, o zbrodni katyńskiej (tzn., że dokonali jej Sowieci, a nie Niemcy – jak to było wówczas oficjalnie twierdzone w Polsce), czy też będące po prostu politycznymi dowcipami zasługują na karalność z tego powodu, że wypowiedzi te mogą u niektórych ludzi pobudzać nastroje, które mogą stać się podłożem do dokonania przez te osoby – czy ewentualnie przez jakieś inne osoby, które zostały przekonane przez te pierwsze osoby do potencjalnie niebezpiecznych poglądów – czynów bezpośrednio już zmierzających

do obalenia ustroju przemocą. Twierdzenia tego rodzaju, jak to, że opowiadanie dowcipów politycznych, mówienie o tym, że samochody amerykańskie są lepsze od radzieckich (pewien żołnierz za coś właśnie takiego został w 1950 r. skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach na 4 lata więzienia i konfiskatę całego majątku), czy wypowiadanie krytycznych uwag o rzeczywistości społeczno - politycznej może stanowić przestępstwo przygotowania do obalenia ustroju państwowego przemocą postrzega się dziś jako absurdalne. O czymś takim czyta się ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Ale czy twierdzenie, że takie wypowiedzi, jak te, które w Polsce w czasach stalinowskich były karane jako przygotowanie do obalenia przemocą ustroju mogą w jakiś pośredni sposób przyczynić się do dokonania rzeczywistego siłowego zamachu na ustrój jest faktycznie bardziej absurdalne od twierdzenia, że mowa nienawiści może się pośrednio przyczyniać do przestępstw z nienawiści przeciwko osobom należącym do grup narodowych, rasowych, religijnych, itp. – które to twierdzenie raczej rzadko – jak mi się wydaje – jest traktowane jako coś po prostu niedorzecznego? Ostatecznie rzecz biorąc, może sobie przecież wyobrazić sytuację tego rodzaju, że ktoś się nasłucha czy naczyta wypowiedzi mówiących złe rzeczy o ustroju państwa, czy ludziach sprawujących władzę, w następstwie nasłuchania bądź nacytania się takich wypowiedzi zrodzi się u niego nienawiść wobec ustroju lub władzy (czy raczej jednego i drugiego) i w rezultacie tej nienawiści dokona on siłowego zamachu na ustrój. Oczywiście, mówimy tu o czymś bardzo mało prawdopodobnym. Krytyczne, czy po prostu obraźliwe, bądź nienawistne wypowiedzi o osobach sprawujących władzę, czy też o ustroju nie prowadzą w żaden prosty, automatyczny i nieunikniony sposób do przemocy skierowanej przeciwko takim ludziom, czy też mającej na celu zmianę ustroju państwowego. Najczęściej takich wypowiedzi nie da się w żaden sposób wiązać z jakimiś negatywnymi konsekwencjami – podobnie, jak można być pewnym, że mowa nienawiści najczęściej nie prowadzi do niczego – w każdym razie, nie do jakichś przestępczych czynów. Podobnie też najczęściej do niczego nie prowadzą wypowiedzi bezpośrednio już nawołujące do popełniania przestępstw – dlatego też Sąd Najwyższy USA słusznie ograniczył karalność takich wypowiedzi do takich ich przypadków, w których wypowiedzi takie celowo pobudzają do natychmiastowego przestępczego działania i faktycznie są w stanie je spowodować. Lecz gdyby się tak nad tym zastanowić, to trudno byłoby się nie zgodzić z twierdzeniem, że wśród ludzi, którzy pod wpływem takich czy innych wypowiedzi nabrali złego zdania o władzy czy ustroju z większym prawdopodobieństwem mogą znaleźć tacy, którzy postanowią dokonać siłowego zamachu na władzę czy też ustrój, niż wśród takich, których zdanie na temat władzy i ustroju jest dobre. Tu oczywiście jedna uwaga: wypowiedzi z całą pewnością nie są jedynym czynnikiem, w następstwie którego ktoś może nabrać złej opinii o władzy czy panującym systemie społecznym i politycznym i w jakimś następstwie tej opinii posunąć się do popełnienia takiego czy innego przestępstwa – np. wzięcia udziału w zamieszkach, czy dokonania zamachu na życie polityka. Swoją rolę w kształtowaniu takich opinii mogą odgrywać obiektywne warunki życia w sensie przede wszystkim warunków materialnych. Lecz mimo wszystko udział takich czy innych wypowiedzi jako pewnego elementu łańcucha związków przyczynowo – skutkowych, mogących (oczywiście, że z bardzo małym prawdopodobieństwem) prowadzić do popełnienia takiego przestępstwa, jak to, o którym była powyżej mowa wydaje się konieczny z tego prostego względu, że bez pośrednictwa w postaci wypowiedzi ludzie nie mogliby wiedzieć tego, kto winny jest ich nieszczęść (bądź nieszczęść

innych). Trudno przecież byłoby sobie wyobrazić to, że ktoś mieszkający np. 300 kilometrów od Warszawy mógłby nabrać przekonania, że kimś winnym jego złej sytuacji jest rząd w Warszawie, gdyby ten ktoś o tym rządzie nic nigdy nie słyszał, ani nie czytał. Tak więc, twierdzenia stalinowskich sędziów i prokuratorów, że wypowiedzi krytycznie odnoszące się do rzeczywistości polityczno – społecznej Polski po II wojnie światowej są czymś mogącym pośrednio przyczynić się do dokonania zamachu na ustrój państwa przy użyciu przemocy nie były w prosty sposób fałszywe – w tym sensie, że było rzeczą absolutnie niemożliwą, by ktoś w jakimś bardzo choćby pośrednim następstwie takich wypowiedzi mógł coś złego (przynajmniej z punktu widzenia ówczesnej władzy) zrobić. Oczywiście, sędziowie czy prokuratorzy (bądź też np. ubecy) z czasów polskiego stalinizmu zapewne w bardzo przesadzony sposób postrzegali ryzyko powodowane przez wypowiedzi, za które wsadzali ludzi do więzienia. Ale, jakby nie było – była o tym w tym tekście mowa – nawet bardzo niewinne wypowiedzi, takie w każdym razie, których nikt chyba nawet nie proponuje zakazywać – mogą się czasem przyczyniać do niebezpiecznych lub nawet tragicznych w skutkach czynów, a wiele takich czynów nie mogłoby mieć miejsca bez takich, czy innych wypowiedzi (których, znów, raczej nikt nie proponuje zakazać) z tego prostego względu, że bez pośrednictwa w postaci wypowiedzi (czy to w formie słownej, czy w postaci obrazów przedstawianych w filmach czy fotografiach ludzie zazwyczaj nic by nie wiedzieli o rzeczach, które ich wzburzają i przeciwko którym wskutek tego wzburzenia protestują lub usiłują przeciwdziałać – czasami posuwając się do działań w oczywisty sposób przestępczych. Jak w opublikowanym w 1998 r. artykule „The Moral Failure of the Clear and Present Danger Test” pisał prof. David R. Dow z wydziału prawa Uniwersytetu w Houston *„nie ma nic wartego powiedzenia, co nie mogłoby spowodować tego, że jakiś słuchacz podejmie działanie, działanie, które jak najbardziej może być bezprawne. Ktoś, kto słucha wiersza Byrona może stać się radykalnym environmentalistą, natchnionym do zamordowania politycznych przywódców, których ten ktoś postrzega jako wrogich dla środowiska”*. Takie rzeczy, jak to, o czym napisał prof. Dow są bezsprzecznie bardzo mało – a nawet skrajnie mało – prawdopodobne, ale nie można powiedzieć, że są one po prostu niemożliwe – pewne przykłady o których była mowa w tym tekście pokazują, że takie rzeczy po prostu czasem się zdarzają. Oczywiście, nie wiem tego, czy ktoś faktycznie został radykalnym ekologiem, który w dodatku w następstwie swych skrajnych przekonań w kwestii ochrony środowiska popełnił jakieś przestępstwo w rezultacie usłyszenia bądź przeczytania wiersza (lub wielu wierszy) Byrona, czy też jakiegoś innego sławiącego naturę poety. Lecz gdyby coś takiego było w stu procentach udowodnioną prawdą, czy byłby to powód do zakazania publikowania wierszy Byrona – bądź innego poety lub pisarza, który swoją twórczością przyczynił się do zrodzenia się u kogoś np. skrajnej miłości wobec dzikiej przyrody, w wyniku której ten ktoś popełniłby jakieś przestępstwo przeciwko tym, którzy w jego odczuciu – czy też nawet po prostu obiektywnie – zagrażają owej przyrodzie? Lub – to może byłoby lepsze pytanie – czy ktoś byłby za tym, żeby wiersze (np.) Byrona były zakazane z tego powodu, że mogą mieć one niebezpieczny wpływ na niektórych swoich odbiorców? To, jak sądzę, jest pytanie retoryczne. Dodam tu jeszcze jedno: nic nie wiadomo mi (jak już zresztą wspomniałem) na temat tego, by ktoś popełnił jakieś przestępstwo w następstwie nasłuchania bądź nacytania się wierszy (np.) przywołanego przez prof. Dow’a Byrona. Nie są również mi znane przypadki przestępstw z nienawiści, o których dałoby się powiedzieć to, że były one

wynikiem oddziaływania na ich sprawców jakichś konkretnych, indywidualnie zidentyfikowanych przykładów mowy nienawiści. Pomińmy tu takie przykłady, jak ten dotyczący audycji oślawionego „Radia Tysiąca Wzgórz” w czasie rzezi plemiennej w 1994 r. w Rwandzie, w których nie tylko wzywano ludzi z plemienia Hutu do mordowania ludzi z plemienia Tutsi (i sprzyjających im Hutu), ale także – i może to jest *de facto* znacznie ważniejsze – wskazywano miejsca ukrywania się potencjalnych ofiar, ułatwiając w ten sposób zbrodnicze działania. Lecz chciałbym zauważyć, że w pierwszych latach XXI wieku wysuwane były twierdzenia, że do dokonania szeregu brutalnych morderstw przyczynił się głośny wówczas film „Matrix”. W każdym razie, było tak, że sprawcy niektórych takich czynów bronili się przed sądem – czy też już na wstępnym etapie postępowania karnego – argumentując, że fakt spowodowania przez nich czyjejś śmierci był wynikiem tego, że w następstwie obejrzenia wspomnianego filmu uwierzyły one w to, że znajdują się one w świecie symulowanym komputerowo (tj. w Matrixie), a nie w świecie rzeczywistym. Był więc powód do tego, by mieć obawę o to, że film „Matrix” może mieć niebezpieczny wpływ na niektórych psychicznie nie zrównoważonych osobników, z potencjalnie tragicznym tego – jak kilka realnych spraw o zabójstwa to pokazało – skutkiem. Były jakieś wezwania do zakazania filmu „Matrix” w oparciu o zupełnie przecież możliwy do zastosowania wobec niego argument, że obejrzenie tego filmu może w przypadku niektórych jego odbiorców co najmniej pośrednio prowadzić do zabicia kogoś? Ja o takich wezwaniach nie słyszałem. A wracając do kwestii jakichś bardziej ogólnych ideologii i poglądów (choć „Matrix” przecież w gruncie rzeczy prezentował pewien – oczywiście absurdalny dla każdego zdrowego na umyśle człowieka - światopogląd i przestępstwa popełnione przez niektórych widzów tego filmu były wynikiem przekonania ich sprawców do owego światopoglądu - nie po prostu – było oczywiście też mnóstwo tego rodzaju przykładów – naśladowaniem pokazanych w nim czynów) – jak potencjalnie zbrodnicze są twierdzenia tego np. rodzaju, jak motto drugiego raportu Klubu Rzymskiego z 1972 r. które brzmiało „*Ziemia ma raka, tym rakiem jest człowiek*”? Przecież potencjalne implikacje tego twierdzenia są już nie tylko po prostu genocydalne, tj. ludobójcze, jak może mieć to miejsce w przypadku „mowy nienawiści” czy tym bardziej w przypadku wypowiedzi wprost propagujących wytępienie ludzi jakiejś rasy, narodowości, czy (np.) wyznania, ale wręcz omnicydalne – gdyby twierdzenie to potraktować w sposób naprawdę poważny (tzn. uznać, że Ziemia i związana z nią biosfera jest czymś ważniejszym od ludzi, a ci jej tylko szkodzą) to należałoby dojść do wniosku, że trzeba wymordować wszystkich ludzi na naszej planecie – bądź przynajmniej bardzo znaczną ich część (wśród skrajnych environmentalistów popularne są twierdzenia, że Ziemi nie szkodziłoby specjalnie to, gdyby mieszkało na niej około miliona ludzi, żyjących w rozproszonych grupkach, prowadzących zbieracko – łowiecki tryb życia). Rzecz jasna, takich twierdzeń, jak to mówiące o tym, że ludzie są rakiem Ziemi nikt – jak sądzę – nie traktuje w sposób dosłowny. Lecz mimo wszystko takie zjawisko, jak tzw. ekoterroryzm – czyli występowanie przy użyciu przemocy (niekoniecznie kierowanej wprost przeciwko ludziom) w obronie naturalnego środowiska jest czymś realnym. Ekoterroryzm niewątpliwie ma swoje podłoże w poglądach, takich np. jak pogląd, że wszelkie formy życia mają równe prawo do istnienia, a ludzie nie są ważniejsi, niż jakakolwiek inna część przyrody. Niewątpliwie też może się do niego przyczyniać szerzenie twierdzeń gloryfikujących dziką, pierwotną przyrodę i nieskażone środowisko, lub pomstujących na niszczenie środowiska i wskazujących

winnych jego faktycznej, czy też nawet tylko potencjalnej dewastacji. No, tylko czy ktoś chciałby zakazać szerzenia takich twierdzeń, bądź idei biocentryzmu? Ja o czymś takim nie słyszałem – oczywiście nie słyszałem też tego, by wprowadzenie zakazu propagowania takich idei proponowali zwolennicy zakazów mowy nienawiści. Tak swoją drogą, zwolennikom prawnych zakazów wypowiedzi, odnośnie których można twierdzić to, że są one potencjalnie niebezpieczne – a więc np. mowy nienawiści, pornografii – czy pewnych jej rodzajów, przemocy w mediach, nawoływania do popełnienia przestępstwa, które nie stwarza bezpośredniego niebezpieczeństwa faktycznego doprowadzenia do popełnienia przestępstwa, czy publikacji mówiących np. o tym, jak zrobić bombę warto byłoby, jak myślę, zadać pytanie o to, czy byłiby oni za wprowadzeniem np. zakazu ruchu drogowego, lub przynajmniej jego bardzo poważnym ograniczeniem – w postaci np. dopuszczenia do tego ruchu tylko takich pojazdów, jak karetki reanimacyjne, wozy straży pożarnej czy samochody policyjne (ludzie, o których tu mowa są, jak sądzę, za sprawnym ściganiem przestępców, w tym także np. siewców nienawiści), czy też ewentualnie także pojazdów zapewniających niezbędny przewóz towarów czy pracowników do zakładów pracy – lecz jednocześnie zakazania ruchu drogowego o charakterze indywidualnym, bądź nawet zbiorowym, o ile nie jest on konieczny do tego, by ludzie mogli normalnie żyć (tzn. np. nie umrzeć z głodu, do czego konieczne jest dostarczenie im żywności, które w przypadku np. ludzi mieszkających z dala od miejsc bezpośredniej produkcji żywności – a więc np. w centrach wielkich miast – praktycznie rzecz biorąc nie może być im dostarczana inaczej, jak przy użyciu pojazdów – i raczej nie dałoby się w czasach obecnych w sposób efektywny dostarczać tej żywności przy użyciu np. wozów konnych, bo nie ma wystarczającej do tego liczby koni). Skąd pomysł postawienia takiego nedorzecznego, zdawałoby się, pytania? Otóż stąd, że wydaje się, iż dla ludzi, którzy są zwolennikami zakazywania takich czy innych rodzajów wypowiedzi – np. wielokrotnie tu wspominatej mowy nienawiści – z tego powodu, że wypowiedzi te mogą się przyczyniać – czy nawet ich zdaniem faktycznie przyczyniają się – do dokonywania przez niektórych odbiorców takich wypowiedzi czynów realnie krzywdzących inne osoby, a więc np. aktów przemocy - taka wartość, jak np. bezpieczeństwo osób należących do mniejszości narodowych, rasowych, religijnych, czy jeszcze innych, które w ich odczuciu mogą stać się ofiarami przestępstw, powodowanych co najmniej pośrednio przez np. mowę nienawiści, jest czymś nieporównanie wręcz ważniejszym od takiej wartości, jak prawo rasistów, antysemitów itd. do swobodnego wyrażania swoich nienawistnych i obraźliwych wobec pewnych grup ludzi poglądów. Lecz ludzie, o których tu jest mowa muszą – o ile tylko nie mają oni jakiegoś kompletnie zaburzonego obrazu rzeczywistości – przyznać to, że związki przyczynowo skutkowe między wypowiedziami, które ich zdaniem powinny być prawnie zakazane, a czynami, którym chcieliby oni przy użyciu takich zakazów zapobiegać, nie są zbyt proste, jasne, a przede wszystkim częste. Ile osób w 2020 r. zginęło wskutek przestępstw z nienawiści w USA – a więc w kraju, w którym mowa nienawiści nie jest prawnie zakazana? Otóż, 22 (tak przy okazji, w Niemczech, gdzie mowa nienawiści jest surowo zabroniona w 2020 r. odnotowano 6 hate crimes ze skutkiem śmiertelnym, liczba takich przestępstw przypadająca na statystyczny milion mieszkańców tego kraju – tj. 0,072 - była więc wyższa, jakkolwiek tylko minimalnie – od liczby takich przestępstw przypadającej na milion mieszkańców Stanów Zjednoczonych, tj. 0,066. W 2016 r. w wyniku przestępstw z nienawiści zginęło w Niemczech 26 osób – była to przeszło połowa największej liczby hate

crimes, odnotowanej od czasu prowadzenia statystyk na ten temat w USA, tj. 51 (w 2019 r.) – i w przeliczeniu na milion mieszkańców Niemiec liczba takich przestępstw była przeszło dwukrotnie większa od liczby zabójstw będących przestępstwami z nienawiści przypadającej w 2019 r. na milion mieszkańców USA; nawiasem mówiąc, 16 zabójstw stanowiących przestępstwa z nienawiści, które odnotowano w Niemczech w 2019 r. też daje większą ich liczbę na milion mieszkańców, niż wspomniane 51 zabójstw na milion ludzi w USA w 2019 r.). A ile osób zginęło w 2020 r. w USA w wypadkach drogowych? Otóż, jak można się dowiedzieć z [tej strony](#), 38 824 – a w 2021 r. 42 915. Krótko więc mówiąc, w 2020 r. w USA w wyniku wypadków drogowych zginęło 1765 razy więcej ludzi, niż w wyniku przestępstw z nienawiści. Zaś w rekordowym, jeśli chodzi o liczbę śmiertelnych ofiar hate crimes roku 2019, ok. 712 razy więcej. Jest więc absolutnie oczywiste, że liczba ofiar ruchu drogowego jest nieporównywalnie większa od liczby ofiar, które można byłoby choćby tylko *próbować* przypisać mowie nienawiści. Bo chciałbym tu zauważyć jedną, ważną w tym wszystkim, jak mi się wydaje, rzecz: taką mianowicie, że jakkolwiek nie można powiedzieć czegoś takiego, że mowa nienawiści absolutnie, w żaden sposób i w żadnym stopniu nie może przyczyniać się do przestępstw z nienawiści – ja na pewno nie mogę czegoś takiego stwierdzić – to zaryzykować można twierdzenie, że kontakt z taką mową (której nawiasem mówiąc nikt nie proponuje wyeliminować ze sfery publicznej – a już tym bardziej ze sfery np. prywatnych rozmów – w sposób absolutny: walcząca z mową nienawiści Otwarta Rzeczpospolita prowadzi portal internetowy „[Zgłoś Nienawiść](#)”, na którym prezentowane są liczne przykłady mowy nienawiści, które organizacja ta zgłasza do prokuratury) nie jest jakimś absolutnie niezbędnym warunkiem popełniania wspomnianego rodzaju przestępstw. I tak np. po dokonanych przez islamskich ekstremistów zamachach terrorystycznych, które miały miejsce 11 września 2001 r. w USA, gwałtownie wzrosła w tym kraju liczba aktów przemocy i innych przestępstw z nienawiści przeciwko muzułmanom. Przestępstwa te w oczywisty sposób były co najmniej pośrednim wynikiem pewnych wypowiedzi: takie zdarzenia, jak zamachy na World Trade Center i Pentagon bezpośrednio, na własne oczy mogli widzieć tylko ci, którzy znajdowali się blisko miejsc tych zdarzeń (tj., powiedzmy, ileś tam kilometrów od nich – wieże World Trade Center były wszak wysokie i widoczne ze sporej odległości); ci którzy byli fizycznie dalej od nich mogli jedynie zobaczyć obrazy tych zamachów i wiadomości o nich przekazywane przez media. Zaś wiedzę o tym, że sprawcami strasznych wydarzeń, do których doszło w USA 11 września 2001 r. byli ekstremistyczni wyznawcy islamu praktycznie jacykolwiek mieszkańcy USA (i oczywiście innych krajów świata) mogli nabyć wyłącznie dzięki wypowiedziom, w tym przede wszystkim wypowiedziom prezentowanym w mediach. Wypowiedzi, o których tu była mowa pobudziły u niektórych Amerykanów emocje, które jakąś (drobną) część z nich popchnęły do dokonania takich, czy innych przestępstw z nienawiści przeciwko muzułmanom. No, tylko tyle, że wypowiedzi, o których tu jest mowa nie były żadną mową nienawiści. W żadnym przypadku mowy nienawiści nie stanowiły przecież niezliczoną ilość razy pokazywane (czy indywidualnie odtwarzane np. na komputerach) w mediach obrazy samolotów uderzających w wieże World Trade Center i budynków płonących, a następnie walących się pod własnym ciężarem w wyniku osłabienia ich konstrukcji przez wysoką temperaturę. Nie były też żadną mową nienawiści dramatyczne, czy szokujące wręcz relacje na temat tego, co działo się na miejscu zamachów. Oczywiście nie było też mową nienawiści mówienie o tym, że sprawcami

prerażających czynów, do jakich doszło 11 września 2001 r. w USA byli ekstremistyczni, nienawidzący Zachodu, dominujących w nim wartości, kultury i przeważającego w nim stylu życia ekstremistyczni muzułmanie. Nie było też (i nie jest) mową nienawiści mówienie i pisanie o takich zjawiskach, jak muzułmański fundamentalizm i terroryzm. Nie jest mową nienawiści (w sensie mowy karalnej w niektórych krajach) mówienie i pisanie o takich rzeczach, jak np. zdarzające się czasem w muzułmańskich społecznościach tzw. zabójstwa honorowe, o panującym w państwach zamieszkanym głównie przez muzułmanów braku politycznej, religijnej i osobistej wolności, o podrzędnym wobec mężczyzn statusie społecznym kobiet w tych krajach, o prawie islamskim – szariat – według którego najcięższą zbrodnią, bezwzględnie zasługującą na karę śmierci, jest odstępstwo od islamu i które przewiduje kary stu batów za takie „przestępstwa” jak picie alkoholu i pozamałżeński seks (poniekąd w najbardziej fundamentalistycznych krajach islamskich karany nawet śmiercią) – nie jest również mową nienawiści mówienie o popieraniu owego prawa przez muzułmanów, w oczywisty sposób nie jest też mową nienawiści mówienie czy pisanie o tym, że w islamie nie ma oczywistego dziś w świecie zachodnim rozróżnienia między *sacrum*, a *profanum*, nie uznaje się też za mowę nienawiści mówienia o szybkim wzroście liczby muzułmanów np. w Europie, ani też samego po prostu wyrażania opinii, że muzułmanie wskutek ich napływu do Europy z krajów np. Afryki Północnej czy Bliskiego Wschodu, a także dużej liczbie urodzeń wśród członków tej grupy wyznaniowej mogą w krótkim czasie stać się w krajach europejskich nie mniejszością, ale większością ludności i zechcieć wprowadzić porządki zgodne z ich wiarą. To wszystko są wypowiedzi, które mogą przyczyniać się do rozbudzania złych emocji wobec muzułmanów i na zdrowy rozum także (pośrednio) do przestępstw z nienawiści wobec nich. Lecz takie wypowiedzi, jak już wspomniałem, nie są w krajach europejskich, czy też np. w również zakazującej hate speech Kanadzie czymś uznawanym za karalną mowę nienawiści. Choć oczywiście, niektóre wypowiedzi na temat muzułmanów czy odnoszące się do nich mogłyby zostać uznane w krajach innych, niż USA, za przestępstwo. Za karalną hate speech wobec muzułmanów mogłyby zostać uznane np. wypowiedzi określające muzułmanów mianem psów, świń, zarazy, robactwa itd. Mogłyby za mowę nienawiści zostać uznane wypowiedzi mówiące np. o tym, że wszyscy muzułmanie są terrorystami – albo nawet, że wszyscy muzułmanie popierają terroryzm - że wyznawcy islamu chcą wyrządzić mieszkańcom krajów zachodnich ogólną rzeź, czy też hasła w rodzaju np. „muzułmanie won! ” (czy nawet „islamiści won! ”). Czy jednak takie wypowiedzi mogą przyczyniać się do przestępstw z nienawiści przeciwko muzułmanom na skutek budzenia wrogich emocji przeciwko nim? Nie mogę powiedzieć, że na pewno nie. Lecz sądzę jednak, że rola takich wypowiedzi w procesie generowania przekonań i emocji, które są podłożem dla przestępstw z nienawiści przeciwko muzułmanom jest niewielka. Dlaczego? Z prostego względu. Są to bowiem wypowiedzi, które albo po prostu nie zawierają żadnej poważnej, merytorycznej treści na temat tego, jacy są muzułmanie i co ewentualnie chcieliby oni, czy też gotowi byłiby zrobić (choć niewątpliwie będące wyrazem emocji, jakie niektórzy ludzie mają wobec muzułmanów), bądź ewentualnie są to wypowiedzi w sposób oczywisty niezgodne z prawdą, takie, których po prostu nie da się traktować jako poważnych stwierdzeń na temat rzeczywistości. Uwierzy ktoś w prawdziwość stwierdzeń tego rodzaju, że muzułmanie powszechnie popierają terroryzm, czy też że ogół muzułmanów chce wymordować mieszkańców Zachodu? To jest, wydaje mi się, pytanie

retoryczne. Dlatego też nie sądzę, że takie wypowiedzi, które w krajach mających w swych ustawodawstwach zawarte przepisy przeciwko mowie nienawiści mogłyby zostać uznane za przestępstwo (i które oczywiście bywają tak traktowane) mogły jakoś szczególnie przyczyniać się do przestępstw z nienawiści przeciwko muzułmanom; przypuszczam, że znacznie większą rolę w przyczynianiu się do takich przestępstw mogą odrywać te wypowiedzi, które nie są zakazane prawnie. Chciałbym też zauważyć, że sędzia Wojtysek w swej opinii w sprawie Dody napisał o szybko rosnącej w Polsce i w Europie liczbie aktów religio-fobicznych, takich, jak fizyczne napaści na księży, które doprowadziły do śmierci niektórych takich osób, a także niezliczonych aktach wandalizmu wymierzonych w miejsca kultu religijnego, symbole religijne i cmentarze wyznaniowe w całej Europie. Przyjmijmy – choćby dla dobra argumentacji – że to, o czym napisał sędzia Wojtysek jest prawdą. Lecz jeśli nawet jest to prawdą, to chciałbym też zauważyć, że do takich – godnych potępienia i zasługujących na zdecydowane ściganie i karanie - przestępstw równie dobrze, jak wypowiedzi, które dałyby się określić mianem mowy nienawiści wobec księży – czy też np. w ogóle wobec chrześcijan – bądź wypowiedzi znieważające obiekty kultu religijnego, które zdaniem sędziego Wojtyszka również powinny być prawnie zabronione – mogą przyczyniać się np. medialne relacje na temat skandali pedofilskich z udziałem niektórych księży, które przecież nie są karalną mową nienawiści, ani czymś, co można byłoby uznać za przestępstwo obrazy uczuć religijnych (nawet, gdyby takie wypowiedzi faktycznie obrażały uczucia religijne niektórych osób: księży nie są przedmiotami czci religijnej). Mogą się do nich też przyczyniać wypowiedzi wyrażające opinie tego np. rodzaju, że Kościół w Polsce (bądź w jakimś innym kraju) ma zbyt duży wpływ na władzę – które przecież nie są zakazane prawnie jako np. hate speech. Podłożem niektórych przynajmniej bandyckich napadów na księży może być przekonanie ich sprawców, że księży mają dużo pieniędzy - mówienie czy pisanie o tym, że księży są bogaci nie jest jednak mową nienawiści, ani żadnym innym przestępstwem, które można popełnić przy użyciu słów. W każdym razie, trzeba powiedzieć, że jest czymś absolutnie wyobrażalnym dokonanie czegoś, co np. w USA zostałoby uznane za przestępstwo z nienawiści – a więc np. fizycznego zaatakowania jakiejś osoby wybranej z powodu jej narodowości, rasy, wyznania itd. czy zniszczenia własności wybranej z tego powodu, że należy ona do osoby lub osób, które wyznają jakąś określoną religię przez kogoś, kto nigdy nie zetknął się z mową nienawiści – w każdym razie taką, o której można byłoby powiedzieć: *tak, to jest publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, itp.* Albo: *tak, to jest publiczne znieważenie grupy ludności z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, etc.* Lecz jest jednak rzeczą zupełnie oczywistą i – w przeciwieństwie do kwestii związków przyczynowo – skutkowych między hate speech i hate crimes - nie mogącą podlegać żadnej sensownej dyskusji to, że wypadków samochodowych nie byłoby bez samochodów i tego, że ludzie nimi jeżdżą. Jak już wspominałem, ruch drogowy przyczynia się do bez porównania większej liczby ludzkich tragedii i dramatów od tej, którą można byłoby choćby tylko próbować przypisywać mowie nienawiści (ewentualnie też innym rodzajom prawnie zakazanej ekspresji).

Oczywiście, ruch drogowy przynosi też korzyści – bardziej namacalne od tych, które mogą być wynikiem np. mowy nienawiści (bądź prawnej tolerancji wobec takiej mowy). Dzięki

samochodowi można np. dotrzeć nad morze, czy w góry w ciągu kilku godzin, a nie w ciągu wielu dni, które trzeba byłoby zużyć na pieszą wędrówkę bądź jazdę np. bryczką (ktoś mógłby powiedzieć, że nad morze czy w góry można dotrzeć także pociągiem, czy nawet samolotem, lecz chciałbym zauważyć, że tymi środkami lokomocji – a nawet np. autobusami – nie można byłoby dotrzeć w wiele miejsc, do których można dotrzeć zwykłym osobowym samochodem). Jakkolwiek prawo do posiadania i używania samochodu nie jest czymś, co – w przeciwieństwie do swobody wypowiedzania się – jest w konstytucji czy aktach prawa międzynarodowego (takich np. jak Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, czy Europejska Konwencja Praw Człowieka) wymienione jako jedno z podstawowych praw ludzkiej jednostki, to z całą pewnością bardzo wielu ludzi (raczej nie wdających się w prawne dywagacje na temat tego, co jest, a co nie jest zapisane w konstytucji czy w jakiejś międzynarodowej konwencji bądź też co z jakichś zapisów wynika, a co nie) postrzega możliwość posiadania samochodu i poruszania się nim jako jedno ze swoich ludzkich praw – być może, że ważniejsze od np. prawa do wyrażania jakichś wywrotowych opinii, czy prawa do czytania nieocenzurowanej prasy.

Lecz tu pojawia się ważne, jak mi się wydaje, pytanie: czy prawo potencjalnych ofiar wypadków drogowych do tego, by nie zginąć bądź nie odnieść obrażeń w wypadkach nie jest przypadkiem czymś ważniejszym, niż prawo ludzi do jeżdżenia samochodami? Oczywiście, wiemy, że względnie mało kto zostaje ofiarą wypadku drogowego: w 2020 r. USA wskutek wypadków samochodowych zginęła ok. 1/8 487 część amerykańskiej ludności. Można też powiedzieć, że jeśli ktoś jeździ samochodem prawidłowo, w sposób zgodny z przepisami, to raczej nie spowoduje wypadku, choć tu też różne rzeczy mogą się przecież zdarzyć: np. awaria układu kierowniczego czy hamulców, wtargnięcie pijanego lub po prostu zamyślonego człowieka na jezdnię, bądź wpadnięcie pojazdu w poślizg, co czasem może mieć miejsce przy zupełnie prawidłowej jeździe. Niemniej jednak, nie ma wątpliwości co do tego, że ruch drogowy, pomimo prawnych regulacji mających sprawić to, by jeżdżenie samochodami czy też przechodzenie przez ulicę było rzeczą bezpieczną, jest w krajach o tej liczbie ludności, co Polska (czy tym bardziej USA) bezpośrednią przyczyną śmierci tysięcy ludzi rocznie. W każdym razie, jest absolutnie oczywiste, że bez porównania więcej ludzi staje się ofiarami wypadków drogowych, niż przestępstw z nienawiści: w 2020 r. w wyniku hate crimes ze skutkiem śmiertelnym zginęła ok. 1/14 977 273 część mieszkańców USA; była to, jak już wspominałem, mniej więcej 1/1765 tej części amerykańskiej populacji, która zginęła w wyniku wypadków drogowych.

Czy zatem ruch drogowy nie jest czymś bardziej zasługującym na zakazanie go, niż na zakazanie może zasługiwać np. mowa nienawiści? Oczywiście, ja nie jestem za wprowadzeniem zakazu produkcji, posiadania i używania samochodów z tego powodu, że w wypadkach drogowych ginie wielu ludzi. Tyle tylko, że ja jestem przeciwnikiem zakazów mowy nienawiści, propagowania faszyzmu lub innego totalitarnego ustroju państwa, pornografii i innych rodzajów wypowiedzi o których można powiedzieć co najwyżej to, że

wypowiedzi te mogą pośrednio, potencjalnie przyczyniać się do złych zdarzeń – takich, jak choćby przestępstwa z nienawiści – ale nie to, że wypowiedzi te takie zdarzenia bezpośrednio powodują (w takim znaczeniu, w jakim kłamliwe krzyknienie przez kogoś pożar! w pełnym ludzi kinie może spowodować wybuch paniki i wzajemne tratowanie się uciekających w popłochu ludzi, bądź w takim, w jakim wezwanie do zlinczowania kogoś skierowane do rozwścieczonego i uzbrojonego w niebezpieczne przedmioty tłumu może spowodować to, że ten ktoś zostanie pobity, czy nawet zamordowany).

Lecz co ze zwolennikami zakazów wspomnianego rodzaju wypowiedzi? Zaczynając rozumowanie od strony czystej logiki można byłoby przypuszczać, że w hierarchii wartości tych osób, które uważają, że pewne wypowiedzi (przykładowo – mowa nienawiści) powinny być zakazane z tego powodu, że mogą się one przyczyniać do czynów krzywdzących innych ludzi - nawet, jeśli powodowane przez te wypowiedzi niebezpieczeństwo nie jest wyraźne i bezpośrednie, lecz co najwyżej potencjalnie możliwe i raczej względnie odległe (w tym sensie, że nie jest to niebezpieczeństwo mające choćby jakąś większą, niż choćby tylko absolutnie minimalną, szansę na zrealizowanie się w bezpośrednim następstwie jakiejś konkretnej wypowiedzi) taka wartość, jak fizyczne bezpieczeństwo ludzi (a także np. bezpieczeństwo ich mienia) powinna zajmować wyjątkowo wysoką pozycję. Można w każdym razie być pewnym tego, że ta wartość jest dla wspomnianych osób czymś zdecydowanie ważniejszym od takiej wartości, jak prawo niektórych ludzi do wypowiadania się w taki sposób, w jaki chcą one to robić. Czy w takim razie - biorąc pod uwagę to, że w wyniku wypadków drogowych poszkodowanych zostaje bez porównania więcej osób, niż w wyniku np. przestępstw z nienawiści, jak również to, że związek między po prostu samym faktem istnienia takiego zjawiska, jak ruch drogowy, a wypadkami, w których ludzie giną lub odnoszą obrażenia jest nieporównywalnie bardziej jasny i oczywisty, niż związek między mową nienawiści, a przestępstwami z nienawiści (czy też np. między pornografią i przestępstwami seksualnymi) - ludzie ci nie powinni przypadkiem uznać, że prawo jednych ludzi do jeżdżenia samochodami jest mniej ważne od prawa innych osób do tego, by nie zginąć lub nie odnieść obrażeń w wypadkach komunikacyjnych i dojść w związku z tym do wniosku, że używanie samochodów powinno zostać zakazane? Oczywiście, nie chcę, bynajmniej, sugerować zwolennikom prawnych zakazów hate speech, pornografii, etc. co powinni oni myśleć np. o dopuszczalności ruchu drogowego, stwarzającego niewątpliwie bez porównania większe niebezpieczeństwo spowodowania śmierci czy obrażeń u ludzi, niż te rodzaje ekspresji, które zdaniem wspomnianych osób powinny być traktowane jako przestępstwa. Lecz jeśli zwolennicy zakazów wspomnianych zakazów ekspresji nie są – a z całą pewnością w olbrzymiej swojej większości przecież nie są – zwolennikami np. likwidacji ruchu drogowego (wskazałem tu na ruch drogowy z tego względu, że jest to zjawisko bez wątpienia potencjalnie niebezpieczne i mimo wiążącego się z nim ryzyka powszechnie akceptowane, a jednocześnie takie, które – można byłoby twierdzić – nie jest ludziom niezbędne do życia – wszak ludzie przez tysiące lat, do niedawnych czasów, nie korzystali z samochodów – nie takie, jak np. używanie ognia, który też jest przecież w zupełnie oczywisty sposób niebezpieczny, z tego np. powodu, że ludzie nie mogą jeść wyłącznie np. surowych owoców i warzyw – a nawet gdyby mogli, to w krajach o choćby takim klimacie, jak ten,

który panuje w Polsce – lub nawet cokolwiek cieplejszych - w chłodnej porze roku bez używania ognia – przynajmniej tak długo, jak całe ciepło potrzebne do ogrzewania pomieszczeń nie pochodzi wyłącznie z energii wiatrowej, słonecznej, wodnej czy choćby atomowej – poumieraliby z wychłodzenia) to znaczy to tyle, że myślenie takich osób – które, dodam też do tego, w zdecydowanej w swojej większości nie są zwolennikami prawnego zakazu wszelkiego rodzaju wypowiedzi, odnośnie których z powodzeniem można byłoby argumentować, że są one niebezpieczne w podobny sposób, w jaki niebezpieczna może być np. mowa nienawiści – jeśli ktoś chciałby, w sposób poważny, być zwolennikiem zakazu wszelkich choćby tylko pośrednio i potencjalnie niebezpiecznych rodzajów ekspresji, to musiałby w praktyce opowiadać się za stworzeniem systemu bez porównania bardziej totalitarnego od tych, które istniały państwach totalitarnych XX i XXI w. i za zrobieniem z kraju (czy też może z całego świata) intelektualnej i kulturalnej pustyni - jest cokolwiek niespójne. No cóż, ludzie rzadko kiedy są konsekwentni w swoich poglądach odnośnie np. tego, co powinno być dozwolone, a czego należy zakazać (lub czy zakaz czegoś jest słuszny). Może to i w sumie dobrze – może z takiego właśnie powodu ludzie, którzy za całkowicie uzasadnione uważają np. zakazy mowy nienawiści nie nawołują do zakazywania wyświetlenia filmów, odnośnie których wysuwane były twierdzenia, że zainspirowały one kogoś do popełnienia takiej czy innej zbrodni, czy też do kryminalizacji propagandy przeciwników (bądź zwolenników) dopuszczalności aborcji, obrońców praw zwierząt, rzeczników idei tzw. głębokiej ekologii, ludzi straszących potencjalnymi konsekwencjami globalnego ocieplenia, czy też manipulacji genetycznych bądź bio i nanotechnologii, lub prezentowania wiadomości o prawdziwych czy też fikcyjnych przestępstwach (które przecież w wielu przypadkach inspirowały dokonywanie realnych, mających ofiary, przestępstw) – i oczywiście nie domagają się zakazu używania samochodów. Lecz choć istnienie takich prawnych ograniczeń wolności słowa, jak np. zakazy mowy nienawiści nie stwarza jakiegos nieuchronnego ryzyka stworzenia jakiegos absurdalnie daleko posuniętej cenzury – a już na pewno nie stwarza poważnego ryzyka, że taka cenzura zapanuje w bliskiej przyszłości (czy już tym bardziej, że samochody zostaną zakazane z tego powodu, że wielu ludzi ginie w wypadkach z ich udziałem) to chciałbym jednak mimo wszystko zauważyć, że tego rodzaju zakazy ekspresji, jak te, o których była tu mowa, stwarzają swego rodzaju precedens, którego skutkiem niekoniecznie muszą – w jakiś nieuchronny sposób (ludzie, którzy decydują o tym, jakie rodzaje wypowiedzi powinny być zakazane, tj. parlamentarzyści uchwalający przepisy i funkcjonariusze aparatu wymiaru sprawiedliwości, którzy te przepisy interpretują i egzekwują nie są przecież automatami) – być dalsze (i coraz dalsze) ograniczenia swobody wypowiedzi, lecz który mimo wszystko cokolwiek ułatwia (przede wszystkim psychologicznie) wprowadzanie takich ograniczeń i w praktyce zwiększa prawdopodobieństwo ich zaistnienia.

Popatrzmy się pod tym kątem na historię obowiązujących obecnie w polskim prawie przepisów zakazujących mowy nienawiści i propozycji zmian tych przepisów. W obowiązującym od 1 września 1998 r. kodeksie karnym z dnia 6 czerwca 1997 r. od samego początku jego obowiązywania istnieją takie przepisy, jak art. 256, stanowiący, że ten, kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze

względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do lat 2, oraz art. 257 przewidujący karę do 3 lat więzienia dla kogoś, kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takiego powodu narusza nietykalność cielesną innej osoby. Przepisy te od podobnych do nich, jakie istniały w kodeksie karnym z 1969 r. różniły się tym, że kodeksie z czasów komunistycznych była mowa nie o publicznym propagowaniu faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, ale o publicznym pochwalaniu faszyzmu lub jakiegokolwiek jego odmiany (trudno sobie wyobrazić, by kodeks karny z czasów Gomułki zabraniał pochwalania czy też propagowania komunizmu, gdyż ówczesna Polska, nie określając się oficjalnie jako państwo komunistyczne – w konstytucji z 1952 r. zapisane było, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej – to jednak całkiem oficjalnie dążyła do zbudowania komunizmu), będący po części odpowiednikiem obecnego art. 256 §1 art. 272 mówił nie o publicznym nawoływaniu do nienawiści, lecz o publicznym nawoływaniu do waśni, a także o publicznym pochwalaniu waśni (na tle takich samych różnic, jak te wskazane w art. 256 §1 obecnego kodeksu, z wyjątkiem bezwyznaniowości, o której w art. 272 k.k. z 1969 r. nie było mowy), z kolei publiczne lżenie, wyszydzanie lub poniżanie grupy ludności albo poszczególniej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej lub rasowej, o którym była mowa w art. 274 §1 (i w art. 193 §1 w odniesieniu do lżenia, wyszydzania lub poniżania grupy ludności lub poszczególniej osoby z powodu jej bezwyznaniowości lub przynależności wyznaniowej) zostało w art. 257 obecnego k.k. zastąpione jednym znieważaniem.

Wprowadzone w 1997 r. zapisy przytoczonych tu art. 256 i 257 k.k. obowiązują do dzisiaj – choć nie w całkiem niezmienionej postaci, gdyż treść tego, co pierwotnie było po prostu artykułem 256 k.k. w pewnym momencie stała się treścią pierwszego paragrafu tego artykułu, do którego dorzucono §2, mówiący, że *„Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w § 1 albo będące nośnikiem symboliki faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej”* (fragment tego przepisu mówiący o symbolice faszystowskiej, komunistycznej lub innej totalitarnej utracił moc na podstawie wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 19 lipca 2011 r.), a także §3, stanowiący, że *„Nie popełnia przestępstwa sprawca czynu zabronionego określonego w § 2, jeżeli dopuścił się tego czynu w ramach działalności artystycznej, edukacyjnej, kolekcjonerskiej lub naukowej”* oraz §4, zgodnie z którym *„W razie skazania za przestępstwo określone w § 2 sąd orzeka przepadek przedmiotów, o których mowa w § 2, chociażby nie stanowiły własności sprawcy”*.

Paragrafy 2, a także 4 art. 256 k.k. niewątpliwie rozszerzyły represyjny potencjał tego przepisu. Lecz zwróćmy może bardziej uwagę na propozycje zmian tych przepisów, które były formułowane na przestrzeni ostatnich, powiedzmy, dwudziestu lat. I tak np. środowiska lewicowe proponowały (i nadal proponują) wprowadzenie zakazów nawoływania do

nienawiści (względnie wywoływania albo szerzenia nienawiści lub pogardy) i znieważania całych grup ludności bądź konkretnych osób z takich powodów, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna. Tak swoją drogą, o ile sobie przypominam, to pierwotny projekt tego typu przedstawiony bodajże w 2003 r. przez ówczesną Socjaldemokrację Polską Marka Borowskiego (niewątpliwie, poniekąd, mądrego człowieka) zawierał propozycję jedynie dodania do zapisanych już w art. 256 i 257 k.k. zakazów zakazu nawoływania do nienawiści i znieważania z powodu orientacji seksualnej. Pomysł zakazania mowy nienawiści odnoszącej się do ludzi (czy to konkretnych, czy też całych ich grup) z powodu takich ich cech, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa i niepełnosprawność pojawił się później – najprawdopodobniej pod wpływem wspomnianej propozycji partii Marka Borowskiego, a bardziej pośrednio niewątpliwie pod wpływem istniejących od samego początku w kodeksie karnym zakazów nawoływania do nienawiści i znieważania z takich powodów, jak przynależność narodowościowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa i bezwyznaniowość. Jednak propozycje rozszerzenia zakazów mowy nienawiści się na tym nie skończyły. W 2013 r. grupa posłów Platformy Obywatelskiej wniosła do Sejmu projekt ustawy, w myśl której przestępstwem zagrożonym karą grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2 miało być publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, publiczne nawoływanie do nienawiści wobec grupy osób lub osoby z powodu jej przynależności narodowościowej, etnicznej, rasowej, politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań, a także publiczne znieważenie osób lub osoby z któregoś z tych powodów. Wcześniej, bo w 2011 r. Otwarta Rzeczpospolita postulowała wprowadzenie przepisu zabraniającego publicznego rozpowszechniania informacji, które mogą doprowadzić do propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, albo szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną. Naruszenie tego przepisu miało być za pierwszym razem karane tylko grzywną lub ograniczeniem wolności, ale za recydywę miało grozić do 3 lat więzienia. W myśl pomysłu O.Rz. karalne miało być więc nie tylko publiczne propagowanie faszyzmu czy innego totalitaryzmu oraz nawoływanie do nienawiści (czy też szerzenie nienawiści lub pogardy) na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, etc., ale także rozpowszechnianie zupełnie choćby nawet prawdziwych informacji, których choćby tylko potencjalnym – niekoniecznie faktycznym – skutkiem mogłoby być propagowanie faszyzmu bądź innego ustroju totalitarnego, albo szerzenie wskazanych w przytoczonym przepisie rodzajów nienawiści lub pogardy. Gdyby taki przepis obowiązywał i był naprawdę poważnie traktowany przez prokuratorów i sędziów, to bez żadnego (przynajmniej z formalnoprawnego punktu widzenia) problemu jako przestępstwo dałoby się traktować rozpowszechnianie informacji dotyczących inwazji Rosji na Ukrainę, a w szczególności już wiadomości o wiadomości o dokonywanych przez Rosjan zbrodniach, które to informacje pobudzają niektórych ich odbiorców do wypowiedzi, których treść bez trudu można byłoby uznać za szerzenie nienawiści lub pogardy wobec Rosjan (tak swoją drogą, mowy nienawiści skierowanej przeciwko Rosjanom jest w Polsce – np. na różnego rodzaju forach internetowych, takich choćby, jak forum związane ze stroną internetową Gazety Wyborczej - całkiem dużo, lecz problem faktycznych przestępstw z nienawiści przeciwko

członkom tej grupy narodowej obecnie w Polsce praktycznie nie istnieje – choć inaczej jest już np. w Niemczech, gdzie fizyczne ataki na Rosjan, a także przypadki uszkodzenia mienia należących do Rosjan sklepów i skierowane przeciwko Rosjanom obelgi i pogróżki zaczęły się już w dniu rosyjskiej napaści na Ukrainę). Gdyby natomiast w Polskim prawie obowiązywał taki przepis, jak art. 256 §1 k.k. w jego wersji zaproponowanej w 2013 r. przez część Platformy Obywatelskiej to obecnie na jego podstawie można byłoby nawet trafić do więzienia za wznoszenie hasel choćby tego rodzaju, jak np. „jebać PiS!” czy „PiS won!” – nie wiem, czy niegdysiejsi pomysłodawcy zakazu nawoływania do nienawiści, oraz znieważania z takich powodów, jak przynależność politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań byłiby zwolennikami karania za takie wypowiedzi.

Obecna władza – niechętna postulatowi środowisk dążących do poprawy społecznej sytuacji takich grup osób, jak osoby LGBT+ – i chyba też zdająca sobie sprawę z tego, że uchwalenie prawa pozwalającego na traktowanie jako przestępstw wypowiedzi tego rodzaju, co hasła „PiS won!” i „Jebać PiS” czy też wypowiedzi określających tę partię mianem mafii czy grupy przestępczej bardziej by zaszkodziło, niż pomogło jej politycznym interesom (choć trzeba przypomnieć, że PiS usiłował – w ostateczności raczej bezskutecznie, tzn. przegrywając procesy sądowe, ścigać takie wypowiedzi w trybie prywatnoskargowym, jako przestępstwo zniesławienia określone w art. 212 k.k., które może odnosić się nie tylko do jakiejś konkretnej osoby, ale że także do grupy osób, lub jako prawnocywilny delikt naruszenia dóbr osobistych) najwyraźniej nie ma ochoty ruszać artykułów 256 i 257 k.k. w tym zakresie, w jakim odnoszą się one do nawoływania do nienawiści, oraz znieważania. Postanowiła jednak cokolwiek ruszyć pierwszy z tych przepisów w zakresie, w jakim jest w nim mowa o propagowaniu ustrojów totalitarnych. Według tej wersji art. 256 §1 k.k. jaka znalazła się w uchwalonej przez Sejm, lecz zawetowanej przez Senat i póki co niepodpisanej przez Prezydenta obszernej nowelizacji kodeksu karnego przestępstwem miałyby być publiczne propagowanie nazistowskiego, komunistycznego lub faszystowskiego ustroju państwa, przy czym maksymalna kara za przestępstwo z art. 256 (któregokolwiek paragrafu) miałyby zostać podniesiona do 3 lat pozbawienia wolności, a ponadto przestępstwem miałyby się stać publiczne propagowanie ideologii nazistowskiej, komunistycznej lub faszystowskiej, a także ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Czymś szczególnie wartym uwagi jest propozycja wprowadzenia do polskiego prawa tego ostatniego zakazu. Co mogłoby być karane na podstawie znajdującego się w nieobowiązującym jeszcze jak dotąd w art. 256a §1 k.k. zapisu przewidującego karę do 3 lat więzienia za publiczne propagowanie takiej ideologii, która nawołuje do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne? Wprowadzenie do kodeksu karnego takiego zapisu na pewno nie jest konieczne do tego, by umożliwić karanie za publiczne nawoływanie do stosowania przemocy w imię takiej czy innej ideologii – coś takiego może być karane na podstawie istniejącego od samego początku w obecnym kodeksie karnym art. 255, który w swym §1 przewiduje karę grzywny, ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do lat 2 za publiczne nawoływanie do popełnienia występku, tj. przestępstwa, za którego popełnienie grozi kara o dolnej granicy poniżej 3 lat pozbawienia wolności, zaś w §2 przewiduje karę za publiczne nawoływanie do popełnienia zbrodni, tj. przestępstwa

zagrożonego karą co najmniej 3 lat więzienia i który wreszcie w §3 przewiduje karę grzywny, ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do roku za publiczne pochwalenie popełnienia jakiegokolwiek przestępstwa. Co więc mogłoby być karane jako publiczne propagowanie wspomnianego rodzaju ideologii? Otóż, przypuszczam, że na podstawie zapisu zabraniającego publicznego propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne za przestępstwo mogłoby zostać uznane np. samo choćby zachęcanie do przeczytania manifestu SCUM amerykańskiej feministki Valerie Solanas, a to z powodu prezentowanej w tym tekście idei fizycznej eliminacji mężczyzn. Można byłoby przecież twierdzić, że tekst ten prezentuje ideologię nawołującą do użycia przemocy (w postaci wymordowania wszystkich mężczyzn) w celu wpływania na życie polityczne i społeczne i że publiczne zachęcanie do przeczytania tego tekstu z wiedzą o jego treści jest publicznym propagowaniem prezentowanej w nim ideologii. Z podobnego powodu za przestępstwo mogłoby zostać uznane zachęcanie do czytania dzieł takich np. autorów, jak Paul Brousse, Carlo Cafiero czy Errico Malatesta, którzy głosili niegdyś idee „propagandy czynem” czyli sabotażu i organizowania zbrojnych wystąpień. Zachęcanie do przeczytania „Manifestu Komunistycznego” Marksa i Engelsa – o ile tylko nie zostałoby uznane za propagowanie ideologii komunistycznej – mogłoby zostać uznane za propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne z powodu znajdującego się w końcowej części tej książki stwierdzenia, że cele, do osiągnięcia których dążą (czy też może raczej dążyli) komuniści *„mogą być osiągnięte jedynie przez obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego”*. W gruncie rzeczy można zastanawiać się nad tym, czy na podstawie fragmentu art. 256a §1 k.k. zakazującego publicznego propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne nie można byłoby karać za publiczne propagowanie właściwie jakiegokolwiek ideologii. Skąd taki mój pomysł? Otóż stąd, że coś w ogóle takiego, jak ideologia jest dość szerokim, a przy tym w praktyce niezbyt jasnym pojęciem. Nie wdając się w dyskusję na temat tego, w jakich przypadkach możemy, a jakich powiedzmy, że jeszcze nie możemy mówić o ideologii – czy też np. o tym, jaka jest różnica między ideologią, a filozofią – chciałbym zauważyć, że mówi się o takich, przykładowo, ideologiach, jak marksizm, socjalizm, komunizm, konserwatyzm, liberalizm, libertarianizm, anarchizm, feminizm, faszizm, nacjonalizm, rasizm, anacjonalizm (istnieje coś takiego – choć program word początkowo wyrzucał mi to „a” przed „n”, robiąc z anacjonalizmu po prostu nacjonalizm, którego anacjonalizm jest rzecz jasna przeciwieństwem), faszizm, nazizm, biocentryzm, syndykalizm, environmentalizm, itd. Wszystkie te ideologie – i oczywiście wiele innych – miały, czy też mają wielu głosicieli, z których rzecz jasna jedni bywali mniej, a inni bardziej radykalni. Wśród przedstawicieli właściwie wszelkich nurtów ideowych byli, czy też są tacy, którzy postulowali posuwanie się do przestępczych i siłowych działań jako środka dążenia do osiągnięcia przyświecających im celów. Jak już powyżej była mowa, przemoc propagowały niektóre feministki. Robili o też, rzecz jasna, niektórzy anarchiści, nacjonaści, rzecznicy idei ochrony środowiska naturalnego i praw zwierząt, a także oczywiście antyrasiści i antyfaszyści (antynaziści). Nie obowiązujący jeszcze art. 256a §1 k.k. miałby zabraniać, jak przypominę, publicznego propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Przestępstwem według tego przepisu miałoby być publiczne propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy we wskazanych w nim celach, nie (a

w każdym razie niekoniecznie) bezpośrednie propagowanie takiej przemocy (które, jak już wspomniałem, mogłoby – aczkolwiek moim zdaniem nie powinno – być karane na podstawie art. 255). Czy przypadkiem więc, jeśli wśród rzeczników jakiejś ideologii byli tacy, którzy propagowali stosowanie przemocy w celu takiego lub innego wpływania na życie polityczne lub społeczne (tzn. wprowadzenia w tym życiu zmian, albo utrzymania status quo) to publiczne propagowanie takiej ideologii, nawet bez jakiegokolwiek odwoływania się do jej przemocowych elementów nie mogłoby zostać uznane za propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne, a więc za przestępstwo zagrożone nawet trzema latami odsiadki? Coś takiego przyszło mi do głowy, lecz przyznam, że nie jest jak dla mnie oczywiste, że z zapisu o propagowaniu ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne prokuratorzy i sędziowie mogliby wyciągnąć tak daleko idący wniosek. Bo powiedzmy sobie szczerze, że karanie za szerzenie np. wszelkiego rodzaju idei o charakterze feministycznym z tego powodu, że Valerie Solanas, czy też parę innych feministek nawoływało do np. wymordowania wszystkich facetów to byłaby chyba jednak lekka przesada. Lecz ideologie tego rodzaju, co – przykładowo – feminizm nie są czymś jednolitym, lecz raczej są czymś dającym się dzielić na wiele nurtów – i tak w przypadku wspomnianego tu feminizmu mówi się o czymś takim, jak np. feminizm indywidualistyczny, feminizm liberalny, feminizm marksistowski, feminizm proseksualny, feminizm radykalny, ekofeminizm, transfeminizm i postfeminizm. Załóżmy, że jest tak, że żadne przedstawicielki jakiegoś nurtu feminizmu nie propagowały stosowania przemocy jako metody dążenia osiągnięcia takich czy innych zmian politycznych lub społecznych. W takim przypadku odwoływanie się do myśli przedstawicielek tego akurat nurtu feminizmu nie mogłoby zostać potraktowane jako przestępstwo – i oczywiście to samo dotyczyłoby odwoływania do się jakiegokolwiek innej ideologii (wąsko pojętej – wśród przedstawicieli szeroko pojętych nurtów ideologicznych, takich, jak np. socjalizm, nacjonalizm, anarchizm, libertarianizm, syndykalizm czy biocentryzm zawsze znalazłby się jacyś propagatorzy zakazanych prawnie metod działania, w tym także stosowania przemocy). Lecz wyobraźmy sobie, że przedstawicielki jakiegoś nurtu feminizmu, a przynajmniej niektóre z nich, nawoływały do stosowania przemocy w celu osiągnięcia jakichś zmian w społeczeństwie. Czy głoszenie opinii, że takie osoby (i to samo dotyczy się rzecz jasna reprezentantów jakiegokolwiek względnie przynajmniej wąsko pojętego nurtu ideologicznego – a więc, powiedzmy, nie całego socjalizmu, konserwatyzmu czy liberalizmu albo libertarianizmu, lecz jakiegoś odłamu tej czy innej ideologii) mają rację i właściwie widzą takie czy inne problemy nie mogłoby zostać uznane za publiczne propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne? To już wydaje mi się dużo bardziej prawdopodobne. Co więcej, podejrzewam, że za przestępstwo określone w art. 256a §1 k.k. mogłyby zostać uznane takie wypowiedzi propagujące myśli osób nawołujących do stosowania przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne, które nawet nie wspominałyby o takich np. tekstach czy wypowiedziach tych osób, w których formułowane były jakieś przestępcze wezwania. Ba, wyobrazić sobie można, że za przestępstwo określone we wspomnianym przepisie można byłoby uznać wypowiedzi propagujące poglądy osób nie nawołujących do stosowania przemocy w jakimkolwiek celu, o ile tylko można byłoby uznać, że poglądy tych

osób należały do nurtów ideologicznych, których jedną z cech było postulowanie stosowania przemocy w celu osiągnięcia takich cz innych politycznych lub społecznych efektów.

I warto też zwrócić uwagę na jeszcze jedną – przyznam, że nie od razu dostrzeżoną przeze mnie – rzecz. O co mi chodzi? Otóż o to, że o zawartym w art. 256a §1 k.k. zwrocie o ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne skłonny byłem myśleć do tej pory tak, jakby tu chodziło o ideologię nawołującą do popełnienia *przestępstwa*, polegającego na użyciu przemocy w celu uzyskania jakichś politycznych bądź społecznych efektów. Lecz chciałbym jednak zauważyć, że w art. 256a §1 k.k. nie ma mowy o tym, że przemoc, do użycia której taka czy inna ideologia nawoływałaby w celu osiągnięcia takiego czy innego wpływu na życie polityczne lub społeczne musiałaby być przemocą nielegalną, sprzeczną z prawem. Przemoc to przemoc – według definicji przedstawionej w Wikipedii jest to wywieranie wpływu na proces myślowy, zachowanie, lub stan fizyczny osoby pomimo braku przyzwolenia tej osoby na taki wpływ w celu uzyskania jakiegoś istotnego zasobu. W tym ujęciu stosowanie przemocy nie musi być czymś, co według przepisów prawa stanowi takie czy inne przestępstwo. I przemoc nie przestaje też być przemocą z tego powodu, że jest ona stosowana w zgodzie z obowiązującym prawem, czy też w imię obowiązującego prawa. To też jest przemoc – choć oczywiście na taką przemoc patrzymy się zazwyczaj inaczej, niż na przemoc nielegalną (znakomita większość spośród nas akceptuje np. łapanie przestępców i wsadzenie ich za kratki, pomimo tego, że odbywa się to przecież przy użyciu przemocy).

Można więc sobie wyobrazić, że art. 256a §1 k.k. w jego części mówiącej o publicznym propagowaniu ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne mógłby być interpretowany tak, że chodzi w nim nie tylko o ideologie nawołujące do stosowania przemocy nielegalnej, lecz także o takie, które postulują stosowanie (w celu osiągnięcia wpływu na życie polityczne lub społeczne) przemocy, na której użycie prawo pozwala – lub jej użycie nakazuje - lub takiej, której stosowanie miałoby się, zgodnie z jakimś postulatem, stać prawnie dopuszczalne bądź nakazane.

Lecz choć taka, jak wskazana powyżej interpretacja znajdującego się uchwalonym już, lecz jak na razie nie obowiązującym art. 256a §1 k.k. zapisu o karalności propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne jest możliwa, a nawet całkiem logiczna (w końcu przemoc, legalna czy też nielegalna, to przemoc) to problem z taką interpretacją tego zapisu byłby taki, że do tego rodzaju przemocy jeśli nie wszyscy wprost nawołują (nie nawołują na pewno do niej ci, którzy nie wypowiadają się na tematy natury publicznej) to praktycznie wszyscy – w jakimś przynajmniej stopniu – akceptują ją. Nawoływanie do użycia takiej przemocy można byłoby zarzucić tym, którzy wzywają do walki z przestępczością, czy też jakimiś jej konkretnymi obszarami, tym, którzy proponują wprowadzenie jakichś nowych podatków, które w końcu nie byłyby przez tych, którzy musieliby je płacić, płacone wyłącznie z własnej dobrej woli – w gruncie rzeczy można by je było zarzucić wszystkim tym, którzy proponują wprowadzenie jakichś zmian w

prawie – innych od takich, które miałyby polegać na zniesieniu takich lub innych przepisów, których egzekwowanie musiałoby polegać na stosowaniu przemocy (tak, jak na stosowaniu przemocy – oczywiście, ujętej w pewne, nazwijmy to, karby – polega egzekwowanie przepisów prawa karnego, prawa wykroczeń, prawa administracyjnego – weźmy tu choćby coś takiego, jak np. decyzja o rozbiórce nielegalnie wzniesionego budynku – i w ostateczności także prawa cywilnego – przecież wyroki sądów cywilnych w sprawach np. o eksmisję lub takich, w których chodzi o zasądzenie odszkodowania są, o ile tylko strona przegrana nie zechce dobrowolnie podporządkować się prawomocnemu orzeczeniu, egzekwowane przy użyciu przemocy).

Tak szeroko pojętego zakazu nawoływania do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne na pewno nikt by nie chciał (no, chyba, żeby ktoś opowiadał się za jakąś absurdalnie daleko posuniętą zasadą niestosowania siły, ale w tym przypadku musiałby popaść w pewną sprzeczność, gdyż musiałby on – o ile miałby być tylko elementarnie konsekwentny – opowiadać się także przeciwko istnieniu, czy też przynajmniej egzekwowaniu zapisu zakazującego nawoływania do przemocy lub zakładającej stosowanie przemocy ideologii) i na pewno nie chciałaby go żadna realnie wyobrażalna władza. Jeśli więc zawarty w art. 256a §1 k.k. zapis o publicznym propagowaniu ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne miałby być interpretowany tak, że niekoniecznie chodzi w nim o przemoc zakazaną przez obowiązujące prawo – lecz także taką, którą prawo przewiduje, bądź zgodnie z jakimś pomysłem miałoby przewidywać – to przepis ten musiałby być egzekwowany w sposób wybiórczy: oskarżani i karani na jego podstawie byłiby ci, którzy postulowaliby jakieś zmiany polityczne lub społeczne, których nie można byłoby urzeczywistnić inaczej, jak przy użyciu jakiejś przemocy, o ile propozycje tych zmian byłyby nieakceptowane przez władze, lecz nie ci, którzy postulowaliby wprowadzanie takich możliwych do egzekwowania tylko przy użyciu przemocy rozwiązań, które ze strony władzy cieszyłyby się aprobatą.

I jeszcze jedno: pod pojęciem przemoc – niezależnie od tego, czy chodzi o przemoc legalną, mającą na celu wyegzekwowanie obowiązującego prawa, czy też o przemoc nielegalną, łamiącą prawo – rozumie się zazwyczaj przemoc fizyczną, użycie fizycznej siły, lub przynajmniej groźbę użycia tak rozumianej przemocy w przypadku niepodporządkowania się jakiemuś żądaniu lub jakiejś decyzji (np. osoba skazana prawomocnym wyrokiem sądu na karę pozbawienia wolności nie jest od razu siłą doprowadzana do więzienia, lecz ma ona obowiązek stawienia się tam w terminie określonym w wezwaniu do odbycia kary – jeśli tego nie robi, to grozi jej doprowadzenie tam przy użyciu fizycznej przemocy). Lecz wskazana tu wcześniej definicja pojęcia przemocy, jaka została przedstawiona w Wikipedii pozwala przypuszczać, że pojęcie to może być rozumiane o wiele szerzej. Przypomnę, że według tej definicji przemoc to wywieranie wpływu na proces myślowy, zachowanie, lub stan fizyczny osoby pomimo braku przyzwolenia tej osoby na taki wpływ w celu uzyskania jakiegoś istotnego zasobu. Można tu dodać, że przemocą w myśl tej definicji może być samo tylko usiłowanie wywarcia wpływu na myślenie, zachowanie lub stan fizyczny jakiejś osoby bez

zgody tej osoby na taką próbę wywarcia wpływu na nią, nawet jeśli taka próba wpłynięcia na daną osobę nie ma faktycznego wpływu na jej przekonania, czy postępowanie – o jej stanie fizycznym już nie mówiąc. Pod pojęcie tak rozumianej przemocy można podciągnąć wiele zachowań odległych od bicia, zabijania, fizycznego krępowania i w ogóle tego, co zazwyczaj rozumie się pod pojęciem przemocy.

Lecz co można byłoby uznać za przemoc przy jakimś szerokim rozumieniu tego pojęcia? Otóż, przypuszczam, że można byłoby argumentować, że tak rozumianą przemoc stanowią zachowania tego rodzaju, co strajki, pikiety i demonstracje. Te formy zachowań – o ile tylko nie towarzyszą im fizyczna ataki na osoby lub mienie - nie są, w normalnym, pospolitym znaczeniu tego słowa, przemocą. Lecz zachowania te mają na celu, jakby nie było, wpływanie na proces myślowy i w konsekwencji na postępowanie takiej czy innej osoby lub osób, bez zazwyczaj jej czy ich zgody na to, by w taki sposób próbować wpłynąć na czyjeś decyzje. W końcu np. demonstranci, którzy urządzają uliczne manifestacje w celu wymuszenia na rządzie, czy też parlamencie, bądź innym organie państwowym jakichś działań (lub powstrzymania się od działań) nie pytają się władzy, do której takie czy inne żądania są przez nich adresowane o to, czy zgadza się ona na to, by próbować wymusić na niej takie czy inne działanie lub zaniechanie w drodze czynnego, społecznego nacisku. Władza takich nacisków na nią, dodajmy, zazwyczaj nie lubi. Nie jest też wreszcie rzeczą wykluczoną, że za przemoc – przy tak szerokim rozumieniu tego pojęcia, jak to, które przedstawione zostało w polskojęzycznej Wikipedii – można byłoby uznać nawet czyste wypowiedzi, o ile wypowiedzi te zawierałyby jakieś określone postulaty i adresowane byłyby (nawet nie bezpośrednio fizycznie, mogłoby wystarczyć to, że wiadomo, kto jest adresatem takich czy innych żądań) do osób, od których ich autorzy domagaliby się spełnienia tych postulatów. Idę tu może (celowo zresztą) trochę daleko, ale jakby nie było całkiem powszechnie mówi się przecież o czymś takim, jak przemoc psychiczna, czy emocjonalna, której narzędziem są nie pięści, pałki, broń palna czy materiały wybuchowe, lecz słowa.

Jak więc widać, od cieszących się generalnie rzeczą biorąc dużą akceptacją społeczną – co nie znaczy, że mądrych i potrzebnych – zakazów publicznego propagowania faszyzmu lub innego ustroju totalitarnego, nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, a także publicznego znieważania całych grup ludności bądź określonych osób z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej oraz ze względu na ich bezwyznaniowość w dość krótkim czasie nastąpiło w Polsce przejście do wymyślania przepisów, które – o ile tylko nie byłyby po prostu nieegzekwowane – mogłyby wolność słowa w Polsce nie tyle ograniczyć – to już robią chociażby art. 256 i 257 k.k. w ich obowiązującej wersji – ile raczej praktycznie zniweczyć. Gdzie jak gdzie, ale w dziedzinie ograniczeń swobody wypowiedzi niebezpieczeństwo zadziałania tego, co określa się mianem mechanizmu równi pochyłej lub śliskiej pochyłości jest realne. W każdym razie warto pamiętać o tym, że jeśli uważa się, że takie argumenty za ograniczeniami wolności słowa, jak te, przy użyciu których można próbować uzasadniać prawne zakazy np. mowy nienawiści,

które nie są, jak wspomniałem w tym tekście, po prostu absurdalne – czymś absurdalnym byłoby niewątpliwie twierdzenie, że mowa nienawiści może prowadzić do trzęsień ziemi, huraganów, gradobicia i pomoru bydła; twierdzenie, że mowa nienawiści może u niektórych jej odbiorców prowadzić do kształtowania poglądów i wywoływania emocji, w następstwie których niektórzy z nich mogą się posunąć do popełniania przestępstw z nienawiści absurdalne, przynajmniej w taki sam sposób, już nie jest – za mogące w poważny sposób uzasadniać ograniczenia tej wolności, to granica, poza którą zakazy wypowiedzi nie mogą się posunąć w gruncie rzeczy przestaje istnieć. Jest tylko co najwyżej pewnym rozciągnięciem myślenia tego rodzaju, że mowa nienawiści powinna być zakazana z tego powodu, że naczytanie lub nasłuchanie się takiej mowy może przyczynić się do zrodzenia się u niektórych podatnych na jej wpływ osób nastrojów, w wyniku których osoby te być może dokonają jakichś hate crimes myślenie, że takie wypowiedzi, jak wspomniany tu żart, że owce do hodowli są wątle dlatego, że jak jest Polska Partia Radziecka, Polska Partia Sowiecka i sowieccy ludzie oraz chłopski rząd to wszystko takie jest zasługują na karalność z tego powodu, że wypowiedzi te mogą przyczynić się do stworzenia nastrojów, mogących sprzyjać dokonaniu w jakiejś przyszłości zamachu na ustrój państwa przy użyciu przemocy. Argumenty za karaniem za takie lub inne wypowiedzi są w obu przypadkach w istocie rzeczy te same. Warto w każdym razie pamiętać o tym, jakie ograniczenia swobody wypowiedzi i represje za słowa były przy użyciu takich argumentów uzasadniane.

Przyp. 7. Zob. *votum separatum* sędziego Holmesa w sprawie Gitlow v. New York (1925)

Przyp. 8. Na zdrowy rozum wydaje mi się, że doznania ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną i w stanie całkowitego ustania akcji serca patrzyli się z góry na akcję reanimacyjną – i po „powrocie do ciała” byli w stanie ją opisać, podając szczegóły, które nie mogły być im znane wcześniej, raczej nie mogą zostać wytłumaczone jako efekty zaburzeń pracy mózgu w sytuacji jego niedotlenienia na skutek odcięcia dopływu krwi do mózgu. Co nie znaczy, że wszelkie doznania towarzyszące stanowi śmierci klinicznej muszą mieć pochodzenie nadprzyrodzone.

Przyp. 9. Jeśli mówimy o wypowiedziach, które u niektórych osób mogą powodować negatywne stany psychiczne, to myślę, że w tym akurat kontekście warto zwrócić uwagę na wypowiedzi mówiące o zjawisku globalnego ocieplenia i jego możliwych konsekwencjach. Jak można przeczytać np. w tym tekście psychologowie alarmują, że silne emocje związane ze zmianami klimatu coraz częściej wymykają się spod kontroli. Dzieci bojące się skutków zmian klimatu niejednokrotnie potrzebują leków psychiatrycznych w celu zmniejszenia strachu przed tymi zmianami. Jakkolwiek realne zjawiska pogodowe – takie np. jak jakieś wyjątkowe upały – mogą pobudzać występowanie zjawisk typu „ekolęku” - to mimo oczywiste jest to, że zjawisk tych nie byłoby bez pewnych wypowiedzi: na zdrowy rozum, nikt nie mógłby się bać tego, że nastąpi (jeszcze większe, niż dotychczas) globalne ocieplenie, Ziemia (lub przynajmniej znaczna jej część) stanie się niezdatna do życia, a wszyscy ludzie (bądź przynajmniej wielka ich liczba) umrą, gdyby ten ktoś o takich rzeczach nie usłyszał lub

nie przeczytał. Czy jednak ktoś uważa, że straszenie skutkami globalnego ocieplenia powinno być prawnie zakazane z tego powodu, że może ono destrukcyjnie wpływać na psychikę niektórych osób?

W kontekście tematu wypowiedzi o globalnym ociepleniu i jego potencjalnych efektach warto jest też zwrócić uwagę (o czym zostało tu już zresztą wspomniane) na przestępstwa popełniane przez niektórych aktywistów klimatycznych. Jak można przeczytać na [tej stronie](#), w czerwcu tego (2022) roku brytyjska grupa aktywistów na rzecz klimatu Pipe Busters po raz pierwszy włamała się na plac budowy rurociągu Southampton-London Pipeline. Używając szeregu starannie dobranych narzędzi, od przecinaków do śrub po piłę tarczową, uszkodzili kilka odcinków nie zainstalowanego jeszcze rurociągu oraz pojazd budowlany. Nie było to działanie przypadkowe: główną funkcją wspomnianego rurociągu ma być zaopatrywanie lotniska Heathrow w paliwo lotnicze. Latem tego roku aktywiści Just Stop Oil zniszczyli kilka dystrybutorów paliwa na stacji benzynowej M25, zaś członkowie grupy This Is Not a Drill rozbili szyby w budynkach organizacji związanych z paliwami kopalnymi i posmarowali te budynki czarną farbą. W podlinkowanym powyżej tekście można też przeczytać o tym, że niedawno strona internetowa This Is Not a Drill poinformowała, że działacze tej grupy wybili frontowe okna Centrum Badawczego Schlumberger Cambridge na Uniwersytecie w Cambridge, aby zwrócić uwagę na niedawną katastrofalną powódź w Pakistanie. W tekście tym jest też mowa o tym, że inna grupa, Tyre Extinguishers, rozpoczęła krucjatę przeciwko SUV-om w środowiskach miejskich w wielu krajach poprzez spuszczenie powietrza z opon. Zostało też w nim wspomniane, że niemiecki ruch klimatyczny Letzte Generation, część międzynarodowej sieci A22, do której należy Just Stop Oil, tej wiosny sabotował kilka rurociągów paliwowych w Niemczech – w sumie ponad 30 razy, jak twierdzi grupa.

Co jest chyba oczywiste, to to, że do wspomnianych powyżej czynów, co do których zgodzimy się chyba, że były to czyny przestępcze (choć nie stanowiące jakichś wyjątkowo poważnych, bezpośrednio zagrażających ludzkiemu życiu czy zdrowiu aktów przemocy) nie doszłoby wówczas, gdyby na sprawców tych czynów nie miały wpływu pewne wypowiedzi. Członkowie grupy Pipe Busters nie zniszczyliby będącego w budowie rurociągu mającego doprowadzać paliwo lotnicze do lotniska Heathrow z tego powodu, że „lotnictwo jest zabójcą planety” gdyby wcześniej nie zetknęli się z taką opinią – szkodliwy wpływ lotnictwa na ziemskie środowisko nie jest przecież widoczny gołym okiem, tylko na podstawie obserwacji lecących, startujących, bądź lądujących samolotów. Odnośnie działań grupy This Is Not a Drill to pomijając już to, że o katastrofalnej powodzi w Pakistanie, która zmotywowała ich do wybicia okien w Centrum Badawczym Schlumberger Cambridge z praktycznie całkowitą pewnością dowiedzieli się oni z mediów, to jasne jest też chyba, że bez zetknięcia się z pewnymi wypowiedziami nie mogliby oni powiązać w swych umysłach tego tragicznego w skutkach zdarzenia z globalnym ociepleniem i wyciągnąć wniosku, że wspomniane Centrum może być w jakiś sposób odpowiedzialne za to, co stało się tysiące kilometrów od jego siedziby. O wypowiedziach mówiących o globalnym ociepleniu, przyczynach tego zjawiska (tzn. że odpowiada za nie ludzka działalność – przede wszystkim w postaci spalania paliw) i jego wyobrażalnych konsekwencjach w sposób co najmniej równie przekonujący, jak o *mowie nienawiści* (i o wiele bardziej przekonujący, niż o wspomnianej w tym tekście wypowiedzi Dody) można byłoby powiedzieć, że wypowiedzi te są pośrednim podżeganiem

do popełniania poważnych przestępstw – nawiasem mówiąc, wyrażane już były opinie, że niektórzy ludzie przejęci problemem globalnego ocieplenia posuną się do uprawiania prawdziwego terroryzmu (była o tym mowa np. w The Economist). Czy w związku z tym wypowiedzi o globalnym ociepleniu powinny być prawnie zakazane z tego powodu, że mogą się one przyczyniać do destrukcyjnych działań? Zapewne mało kto odpowie na to pytanie, że tak – w każdym razie można się założyć o to, że zakazania takich wypowiedzi nie chcieliby typowi zwolennicy zakazów *hejtspiczu*. Lecz mimo wszystko nie trudno jest zauważyć, że ewentualne argumenty, których można byłoby użyć jako uzasadnienia zakazu wypowiedzi straszących globalnym ociepleniem byłyby dokładnie takie same, jak argumenty (moim zdaniem co najmniej nie dostatecznie przekonujące) przy użyciu których uzasadnia się zakazy *hate speech*. Powie ktoś może w demokratycznym kraju zakaz wypowiedzi mówiących o globalnym ociepleniu jest czymś niewyobrażalnym (przynajmniej, jeśli te wypowiedzi nie nawołują do łamania prawa w proteście przeciwko temu zjawisku) i że globalne ocieplenie jest po prostu faktem (zaś nie jest faktem np. to, że członkowie jakiejś grupy narodowej, rasowej, itp. są podludźmi). Lecz mimo wszystko, chciałbym to przytomnie zauważyć, nie jest tak, że wszyscy ludzie na świecie (a w każdym razie ci, którzy o rzeczonyj sprawie mają w ogóle jakieś pojęcie) są przekonani o rzeczywistym występowaniu zjawiska globalnego ocieplenia, a już tym bardziej nie wszyscy są przekonani o tym, że zasadniczą przyczyną tego zjawiska jest ludzka działalność. Wyobraźmy sobie w tym kontekście sytuację, że do władzy dochodzą ludzie uważający, że całe to globalne ocieplenie to jest jedna wielka ściema, a mówienie i pisanie o tym nie występującym ich zdaniem – bądź przynajmniej nie powodowanym przez ludzi – zjawisku jest szkodliwe – np. dlatego, że prowadzi ono do występowania u niektórych ludzi bezzasadnego (lecz rzeczywistego) strachu i pobudza przekonania i emocje motywujące niektórych osobników do popełnienia przestępstw – atakowania stacji paliw, niszczenia rurociągów, podpalania samochodów typu SUV, itd. Jeżeli w kraju, w którym tacy ludzie doszli do władzy (a na pewno nie można powiedzieć, że ludzi o tego rodzaju poglądach nie ma w Polsce) istnieją takie zakazy wypowiedzi, jak np. zakazy mowy nienawiści – czy w ogóle zakazy wypowiedzi, o których można powiedzieć co najwyżej to, że wypowiedzi te mogą być *pośrednio* niebezpieczne – to do zakazy te mogłyby zostać potraktowane jako swego rodzaju precedens, usprawiedliwiający wprowadzenie zakazu wypowiedzi na temat globalnego ocieplenia (a przynajmniej takich wypowiedzi na jego temat, które wiążą to zjawisko z ludzką działalnością). Z jakiej bowiem racji zakazywać pewnych przyczyniających się do szkód wypowiedzi, lecz tolerować w podobny sposób prowadzące do szkód inne? Jeśli natomiast w prawie jakiegoś kraju obowiązuje zasada, że wypowiedzi nie mogą być zakazane czy to z tego powodu, że mogą one u niektórych ich odbiorców pobudzać jakieś negatywne stany psychiczne, czy też dlatego, że mogą one przyczyniać się do pobudzania u niektórych ludzi stanów psychicznych mogących stać się podłożem jakichś destrukcyjnych zachowań, w tym również poważnych aktów przemocy – tak, jak jest to przyjęte we współczesnym prawie amerykańskim – to z wprowadzeniem (a już szczególnie z utrzymaniem przez sądy, czy też instytucje w rodzaju polskiego Trybunału Konstytucyjnego – niekoniecznie nawet w jego obecnej wersji – jako zgodnych z konstytucją) zakazu jakichkolwiek wypowiedzi odnoszących się do kwestii (np.) globalnego ocieplenia byłby znacznie większy problem. W każdym razie, w Stanach Zjednoczonych do wprowadzania zakazu jakichkolwiek wypowiedzi na temat globalnego

ocieplenia potrzeba by było jeśli nie po prostu zniesienia Pierwszej Poprawki do Konstytucji, to przynajmniej zburzenia praktycznie całego gmachu prawa precedensowego, jaki został zbudowany na gruncie tego fragmentu amerykańskiej Ustawy Zasadniczej (przynajmniej, jeśli chodzi o prawo obecnie obowiązujące – bo trzeba powiedzieć, że w przeszłości Sąd Najwyższy USA akceptował całkiem daleko posunięte zakazy wypowiedzi – weźmy tu choćby wspomnianą w przypisie 7 decyzję w sprawie Gitlow v. New York z 1925 r. w której sąd ten uznał za zgodną z konstytucją stanową ustawę przewidującą karę dla każdej osoby, która „ustnie lub pisemnie popiera, doradza lub uczy obowiązku, konieczności lub stosowności obalenia zorganizowanego rządu siłą lub przemocą lub przez zabójstwo szefa władzy wykonawczej lub któregośkolwiek z urzędników wykonawczych rządu, lub w jakikolwiek bezprawny sposób” i podtrzymał wyrok skazujący na karę więzienia w oparciu o tą ustawę wydany w stosunku do osoby rozpowszechniającej tzw. Manifest Lewego Skrzydła Partii Socjalistycznej (które zamieniło się w Komunistyczną Partię USA), który nawoływał do przeprowadzenia w USA rewolucji komunistycznej, zniszczenia kapitalizmu i demokracji parlamentarnej i wprowadzenia „dyktatury proletariatu” - warto przy tym zauważyć, że jedynymi konkretnymi działaniami, propagowanymi w tym manifestie były masowe, polityczne strajki, których zwieńczeniem miał być masowy strajk polityczny przeciwko kapitalizmowi i państwu; nigdzie przy tym w uzasadnieniu wyroku w sprawie Gitlow v. New York nie ma mowy o np. o tym, by w stanie Nowy Jork strajki, czy też jakieś rodzaje strajków – np. strajki solidarnościowe czy strajki polityczne były czymś prawnie zakazanym - nie jest więc moim zdaniem wcale oczywiste to, że treść manifestu rozpowszechnianego przez Benjamina Gitlowa wypełniała znamiona przestępstwa określonego w § 161 Prawa Karnego Stanu Nowy Jork – według tego przepisu przestępstwem było, owszem, ustne lub pisemne popieranie, doradzanie lub nauczanie o obowiązku, konieczności lub stosowności obalenia zorganizowanego rządu siłą lub przemocą (...) lub w jakikolwiek bezprawny sposób, lecz nie było nim jednak propagowanie jakiegś wyjątkowo nawet sprzecznego z amerykańską konstytucją formy ustroju państwa – takiej choćby, jak „dyktatura proletariatu” - odnośnie której p. Gitlow miał, jak mi się wydaje, raczej naiwne wyobrażenia – nie było też nim propagowanie jakichś niezakazanych prawnie – choć być może społecznie destrukcyjnych – działań w celu dokonania zmiany ustrojowej). Jednak w kraju, w którym obowiązują – i są akceptowane – zakazy wypowiedzi tego np. rodzaju, jak zakazy mowy *nienawiści* wprowadzenie zakazu wypowiedzi, których treścią jest bicie na alarm z powodu globalnego ocieplenia z łatwością mogłoby zostać uzasadnione w oparciu o argument, że wypowiedzi takie są podobnie niebezpieczne i szkodliwe, jak niebezpieczna i szkodliwa jest *hate speech*. To niekoniecznie jest mój pogląd (myślę, że globalne ocieplenie jest faktem i że jest ono w znacznej mierze rezultatem ludzkiej działalności) ale warto pamiętać, że ludzie negujący jeśli nie sam fakt wzrostu temperatur na naszej planecie w czasach od początku ery przemysłowej, to przynajmniej związek tego zjawiska z działalnością gatunku *Homo Sapiens*. Nie ma gwarancji, że ludzie tacy nie dojdą kiedyś do władzy, i – jeżeli nie byłiby oni zwolennikami daleko posuniętej wolności słowa – tj. takiej, która obejmuje szerzenie twierdzeń, które ich zdaniem są całkowicie błędne, niemoralne czy niebezpieczne – postanowią zakazać straszenia opinii publicznej globalnym ociepleniem, argumentując, że wypowiedzi zwolenników tezy o przyczynianiu się ludzkiego gatunku do globalnego ocieplenia i potencjalnie katastrofalnych skutkach tego zjawiska są kłamliwe i równie

niebezpieczne, jak (np.) *mowa nienawiści*. Silna ochrona wypowiedzi na poziomie konstytucyjnym – a także poziomie świadomości społecznej – wykluczająca zakazywanie wypowiedzi z powodu ich jedynie „złej tendencji” - stanowi najlepszą możliwą linię obrony przed takim – zgoda, że bardzo mało prawdopodobnym – posunięciem.

Przyp. 10. Zob. decyzję Sądu Najwyższego USA w sprawie Brandenburg v. Ohio (i mój tekst na jej temat). Na temat tego, na ile karalność nawoływania do popełnienia przestępstwa może być uzasadniona wypowiadałem się też (m.in. – ale tam zrobiłem to chyba najlepiej) w tekście „Zakazy wypowiedzi: droga (w najlepszym przypadku) do nikąd”.

Przyp. 11. Pod koniec 2022 r. na stronie <https://hatecrime.osce.org/hate-crime-data> przedstawione zostały w miarę – przypuszczać można – rzetelne dane o liczbie odnotowanych w Austrii w 2021 r. W oparciu o te dane policzyłem, że w 2021 r. na milion mieszkańców Austrii przypadało 88,36 przestępstw z nienawiści o charakterze fizycznego ataku na osobę (8,18 razy więcej, niż w 2020 r. tego rodzaju „hate crimes” przypadało na milion mieszkańców USA), 140,24 tego rodzaju przestępstw będących bezpośrednim zamachem na czyjąś własność (15,69 razy więcej, niż na milion osób w USA w 2020 r.) i 74,14 gróźb i grożących zachowań (6,2 razy więcej, niż tego typu „hate crimes” na milion osób w 2020 r. w USA).

Przyp. 11. Myślę, że odnosząc się do problemu tego, czy zakazy *hate speech* mogą przyczyniać się do redukcji liczby *hate crimes* warto jest zaprezentować zestawienie dotyczące liczb niewątpliwie najgroźniejszych przestępstw z nienawiści, tj. zabójstw, w krajach, w których przestępstwa takie były regularnie odnotowywane, tj. we Francji, w Niemczech i w USA w latach 2015 – 2020. Zestawienie to w odniesieniu do poszczególnych tych krajów wygląda następująco:

Francja:

2015 r. – 31 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 2,15 mln mieszkańców.

2016 r. - 10 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,67 mln mieszkańców.

2017 r. – 5 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,39 mln mieszkańców.

2018 r. – 3 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 22,36 mln mieszkańców.

2019 r. – 7 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 9,61 mln mieszkańców.

2020 r. – nie odnotowano we Francji zabójstw stanowiących przestępstwa z nienawiści.

Niemcy:

2015 r. - 11 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 7,43 mln mieszkańców.  
2016 r. – 26 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 3,17 mln mieszkańców.  
2017 r. – 6 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,78 mln mieszkańców.  
2018 r. – 13 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,38 mln mieszkańców.  
2019 r. – 16 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 5,19 mln mieszkańców.  
2020 r. - 6 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,87 mln mieszkańców.

#### USA:

2015 r. – 17 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 18,86 mln mieszkańców.  
2016 r. – 9 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 35,9 mln mieszkańców.  
2017 r. – 15 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 21,67 mln mieszkańców.  
2018 r. – 24 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,61 mln mieszkańców.  
2019 r. – 51 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,44 mln mieszkańców.  
2020 r. – 22 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 14,97 mln mieszkańców.

Biorąc pod uwagę, że w latach 2015 – 2020 ludność Francji liczyła, średnio rzecz biorąc, 66,97 mln osób, ludność Niemiec 82,47 mln osób, zaś ludność Stanów Zjednoczonych 325,1 mln osób można obliczyć, że w okresie tym jedno zabójstwo będące przestępstwem z nienawiści przypadało we Francji na – przeciętnie - 7,18 mln osób rocznie, w Niemczech na 6,34 mln osób rocznie, zaś w USA na 14,13 mln osób rocznie.

[Strona główna](#)